POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień — ***Dnia 4-go—11-go kwietnia 1942r.*** — **Rok IV. Nr. 14-15**

KU LEPSZEJ POLSCE

DAWNYM zwyczajem będziemy w dniu Zmartwychstania Pańskiego składali sobie wzajem życzenia. I napewno wszyscy będziemy życzyli jedni drugim przede wszystkim jak najszybszego powrotu do wolnej od obcego najazdu Polski. Ale nie kończą się na tym nasze pragnienia.

Zapewne nasze wojsko walczy dziś przede wszystkim o zwycięstwo nad wrogiem, co zajął nasze ziemie. I każdy z nas nie zawaha się ani chwilę przed oddaniem życia za wyzwolenie Ojczyzny, choćby wiedział, że będzie ona bardzo różna od ideału, który nosi w swej duszy. Lepsza, choć niedoskonała, ale wolna Polska—od niewolnej, choćby najlepiej cudzą wolą urządzonej. Nie spotkałem wśród naszej młodzieży nikogo, kto by czuł inaczej.

Ale choć to może wydawać się obecnemu obserwatorowi czymś nielogicznym—zarówno my, wychodźcy i wygnańcy z Polski, jako i żyjąca w nieustannej niepewności jutra, ogładzana, więziona, mordowana przez zbirów niemieckich ludność pozostała w kraju, nie marzymy, ale myślimy realnie nie tylko o odzyskaniu niepodległej Ojczyzny, lecz i o jej pomnożeniu. Taka już jest natura polska. Im cięższy los nas trapi, tym wyżej wznosi się nasza myśl i wola i tym śmielej mierzymy nasze siły na zamiary.

Walcząc o zwycięski odwet za poniesione we wrześniu 1939 roku porażki—walczymy jednocześnie, żołnierze i politycy, nie tylko o usunięcie z ziemi polskiej jej najeźdźców, ale i o trwałe na przyszłość zabezpieczenie przed ponownym kiedykolwiek najazdem. Dlatego jest potrzebne przede wszystkim uzyskanie należytej na zachodzie i północy granicy, likwidującej dotychczasowe bazy wypadowe Niemiec: śląską i wschodnio-pruską oraz dającej Polsce naprawdę szeroki dostęp do morza.

Źle było by jednak, gdybyśmy pomnożenie Ojczyzny pojmowali jedynie geograficznie. W dzisiejszych czasach broni pancernej i nowoczesnych walk na ziemi i w powietrzu najlepszej granicy nie obroni wojsko niedostatecznie wyposażone w maszyny bojowe. Więc nie będzie trwałego i rzeczywistego pomnożenia Ojczyzny bez pomnożenia wielokrotnego naszych sił wytwórczych, szczególnie przemysłowych.

Jest to wręcz sprawa naszego dziejowego bytu lub niebytu—boć przecież Niemcy, nie jeno hitlerowcy, chcą naród nasz nie tylko podbić, lecz i wytępić—byśmy w ciągu najdalej 25 lat dorównali rozwojem naszego przemysłu zachodniej Europie. A na to musimy przeprowadzić natychmiast po wojnie nie takie czy inne poprawki lub uzupełnienia naszej dotychczasowej polityki gospodarczej lecz zorganizować nowy naprawdę ustrój społeczno-gospodarczy, o wiele lepiej zespalający dążenie jednostek do własnego dobrobytu z ekspansją sił wytwórczych całości narodowo-państwowej.

Żeby wszakże ten nowy ustrój należycie działał, żeby niezbędne dla polskiego uprzemysłowienia Polski planowe kierowanie przez centralną władzę państwową ruchem kapitałów pieniężnych i zapotrzebowaniem robót inwestycyjnych nie doprowadziło do zbiurokratyzowania całej przedsiębiorczości narodu i nie stało się narzędziem ponownego "trzymania za pysk" społeczeństwa przez klikę, co by się tak czy inaczej do rządów dorwała, trzeba z gruntu zreformować i nasz ustrój prawno-państwowy. Zapewnić Polsce rząd silny, zdolny do zapobiegania w czas grożącym państwu z zewnątrz czy od wewnątrz niebezpieczeństwom, a jednocześnie poddać go pod rzetelną kontrolę Sejmu i zapewnić wszystkim lojalnie swe obowiązki wobec Ojczyzny wypełniającym obywatelom pełnię swobody myśli, słowa, stowarzyszania się oraz szeroki samorząd terytorialny i zawodowy, tak by żywe było w najszerszych masach ludowych poczucie, że są one pełnoprawnymi współgospodarzami Polski, w pełni też odpowiedzialnymi za Jej losy.

Ale i to nie jest najważniejsze. Najlepsza konstytucja, najmądrzejszy program nowego ustroju społeczno-gospodarczego stanie się lichą karykaturą, jeśli wykonanie ich będzie w ręku ludzi lichych. Konieczne jest pomnożenie sił materialnych Polski, ale nade wszystko jest konieczne pomnożenie siły moralnej narodu. Musimy chcieć Polski nie tylko większej, silniejszej, bogatszej —ale i lepszej.

Bo nie ukrywajmy przed sobą nawet przy życzeniach świątecznych przykrej prawdy. W ostatnich kilkunastu latach przed wojną nie podnosił się stan moralny społeczeństwa, w szczególności warstw wykształconych. Co raz powszechniejsze się stawało nadużywanie władzy, co raz mniej było cywilnej odwagi; co raz więcej pochlebstw możnym, co raz mniej bezstronnego wymiaru sprawiedliwości; co raz więcej spekulacyj i karierowiczostwa, co raz mniej rzetelnego wypełniania swych obowiązków bez względu na zadowolenie czy niezadowolenie przełożonych.

A przy tym szerzyła się co raz większa obojętność na sprawy publiczne, ucieczka do prywatnego wyłącznie życia nie tylko od polityki, ale i od prac narodowo-kulturalnych. Młodzież była bardzo bojowa na wyższych uczelniach. Ale po ukończeniu ich dziwnie jakoś rozproszkowywała się i dostosowywała do atmosfery panującej w różnych urzędach, władzach i instytucjach.

A jednak ci sami ludzie składają w domu i na wygnaniu dowody siły ducha o wiele większej niż jest w jakimkolwiek innym okupowanym przez Niemcy kraju. Jakże to: wczoraj marni sobkowie i karierowicze—dziś dziesiątkami, a może i setkami tysięcy bohaterowie?

Nie—nie podlały dusze polskie, choć niewątpliwie silnie demoralizujące wpływy szły od góry. Od stupięćdziesięciu lat, od doby Sejmu Czteroletniego po dziś dzień rośnie, a nie maleje siła duchowa Polski. Większa ona była w rewolucji 1830 roku niż w insurekcji kościuszkowskiej, o wiele jeszcze większa w powstaniu 1863 roku i 1864, które nie posiadając w swym ręku ani jednego miasta, ani jednej jedynej armaty, a nawet dość karabinów i fuzyj dla uzbrojenia wszystkich zbierających się po lasach partyzantów —trwało w walce z wielokrotnie liczniejszą regularną armia rosyjską dwa lata. A największa jest ona bodaj obecnie.

Nie gasła w niepodległej Polsce miłość Ojczyzny. Była ona nie mniejszą, niż w czasach walki o odzyskanie niepodległości. Objęła ona sobą w ostatnim dwudziestoleciu znacznie szersze masy włościańskie i robotnicze. Jeno nie znajdowała należytego wyrazu, w którym by się wypowiedziała.

Ideał niepodległości, którym żyło moje pokolenie, przestał być po odzyskaniu jej ideałem—stał się szarym dniem codziennym, często dżdżystym i błotnym. A dusza polska zdobywa się na wielkie umiłowania tego ideału, a nie interesu. Są w Ameryce bohaterzy walki o bogactwo; jakże ponętnie opisywał ich London. W Polsce ludzie dążący do milionów są co najwyżej uczciwi. Pozbawieni ideału malejemy. A nie było przecie ideałem ani reklamowane od góry hasło "mocarstwowości" i "obronności kraju," ani propagowane wśród uczącej się młodzieży zawołanie "numerus nullus" i "totalnego nacjonalizmu." Były to tylko wskazania pewnych życiowych spraw państwa, narodu, czy jakiejś jego części.

Ale z chwilą gdy Niepodległa Polska stała się znów ideałem, umiłowanie Jej przejawiło się nie mniej potężnie, a znacznie powszechniej niż we wszystkich dawniejszych dniach ofiarnych i bohaterskich walk o wolność Ojczyzny. I teraz tylko jednego można się obawiać, by ta wielka siła narodowego idealizmu nie została znów po zwycięskim zakończeniu wojny zmarnowana, by odzyskany największymi ofiarami niepodległy byt państwowy nie stał się znów dla przeciętnego obywatela w dniu codziennym szeregiem posad, awansów, subwencyj, licencyj, przydziałów, dostaw, protekcyj, synekur i innych tego rodzaju interesów.

Mimo całego dzisiejszego bohaterstwa naszego społeczeństwa w kraju—niebezpieczeństwo to jest poważne.

Zapobiec mu może tylko jedno: powstanie i zapanowanie w duszach naszych, zrodzonego z dzisiejszej najstraszliwszej, jaką kiedykolwiek naród nasz przeżywał próby miłości, nadziei i wiary—nowego wielkiego ideału, który stanie się nie tylko celem obecnych naszych zmagań, lecz i ambicją całego życia w wyzwolonej już Polsce pokolenia, które będzie tworzyć jej historię w następnych kilku dziesięcioleciach.

Tym ideałem może być tylko Polska, zajmująca swą siłą duchową jedno z najbardziej poczesnych miejsc w pochodzie cywilizacyjnym ludzkości; Polska, która swą wartością wewnętrzną przyciągać będzie do konfederacji z sobą ościenne państwa i stanie się przez to najpewniejszą ostoją trwałego pokoju dla wszystkich narodów dobrej woli; Polska, która urzeczywistniając w całym swym życiu państwowym i obywatelskim naukę Chrystusową, nakazującą miłość, a nie nienawiść, służebny, a nie władczy do bliźnich stosunek, zabraniającą zła dla jakichkolwiek celów chciałoby się je czynić—stanie się potężną zaporą przeciwko panoszącemu się dziś co raz bardziej w polityce wewnętrznej i zewnętrznej szeregu państw duchowi gloryfikacji nie liczącego się z żadnymi nakazami etycznymi gwałtu i podeptania prawa i sprawiedliwości.

Z głębi serca życzę naszej młodzieży wojskowej jak najszybszego powrotu do wyzwolonej jej czynem zbrojnym Ojczyzny, zwycięskiego, radosnego powrotu z ideałem Polski lepszej pod wszystkimi względami.

STANISŁAW GRABSKI

rys. Zdzisław Borysowicz



O Zmartwychwstanie

Strategia Winstona Churchilla

Często zadawane jest pytanie: Jaki właściwie jest plan wojny W. Brytanii? W jaki sposób spodziewa się ona osiągnąć zwycięstwo? Ba, niektórzy stawiają to pytanie bardziej brutalnie: Czy W. Brytania posiada plan wojny?

Zanim spróbujemy odpowiedzieć na to pytanie, należy zastanowić się nad tym, kto rozstrzyga o polityce wojennej i o wielkiej strategii W. Brytanii. W Niemczech decyduje o wszystkim Hitler. A w W. Brytanii?

Choć Niemcy są krajem totalnym, a W. Brytania demokracją, to jednak Churchill decyduje o polityce wojennej tego kraju bodajże w tym samym stopniu, co Hitler w Niemczech. Niewątpliwie Churchill musi się bardzo poważnie liczyć ze swymi sojusznikami, zwłaszcza z Rooseveltem, podczas gdy Hitler narzuca swym europejskim sojusznikom swą wolę. Niewątpliwie także Churchill formalnie sam o niczym nie decyduje.

Decyzje o polityce wojny należą do gabinetu wojennego, złożonego—po niedawnej reformie—z 7 członków. Z drugiej strony techniczne prowadzenie wojny należy do triumwiratu, złożonego z Pierwszego Lorda Morskiego, z Szefa Sztabu Imperialnego i z Szefa Sztabu Lotnictwa. Jednakże ci trzej szefowie sztabu, którzy zbierają się codziennie, rozpracowują strategiczne dyrektywy, udzielane im przez gabinet wojenny. W gabinecie zaś premier Churchill jest osobowością najsilniejszą, mającą niewątpliwie najjaśniejszą wizję drogi do zwycięstwa. Można być pewnym, że jeśli nawet niezawsze przeforsuje on swą wolę, to jednak zasadnicze linie polityki wojennej W. Brytanii, są wytyczane przez niego.

Winston Churchill jest nie tylko premierem, ale także ministrem obrony. Podobnie jak Hitler, posiada Churchill swój własny, "prywatny" sztab doradców wojskowych. Rola, którą w Niemczech odgrywa gen. Halder, przypada w udziale w W. Brytanii gen. Ismay. Churchill sam ma za sobą doświadczenie wojskowe i większe jeszcze może doświadczenie morskie, nabyte w ciągu wieloletniego sprawowania stanowiska Pierwszego Lorda Admiralicji.

Toteż gdy zadaje się pytanie: Jaka jest polityka wojenna W. Brytanii, można by dziś równie dobrze zapytać: Jakie są idee wielkiej strategii, którym hołduje Winston Churchill?

SŁOWA Z 1915 ROKU

W ostatniej mowie w parlamencie Winston Churchill przytoczył własne słowa, wypowiedziane w roku 1915, gdy po niepowodzeniu próby sforsowania Dardanelli—jego wówczas naczelnej idei—ustąpił z rządu. Słowa wówczas prorocze, a i dziś w pełni aktualne:

"Dawne wojny były rozstrzygane raczej przez epizody, niż przez swe dążności ogólne. Teraz jednak te dążności są znacznie ważniejsze od epizodów.

"Możemy wygrać tę wojnę, nie wygrywając żadnych sensacyjnych bitew. Aby wygrać wojnę nie musimy bynajmniej wyprzeć wojsk niemieckich z terytoriów, które zdobyły, ani przełamać ich linii.

"Choć linie niemieckie będą wychodziły daleko poza granice Niemiec, choć sztandar niemiecki powiewać będzie nad zdobytymi stolicami, choć pozornie broń niemiecka święcić będzie same triumfy, to jednak Niemcy mogą być w drugim czy trzecim roku wojny pobite bardziej zdecydowanie, niż gdyby nawet wojska Sprzymierzonych w pierwszym roku wojny zdobyły Berlin".

Te słowa Churchilla i ich przypomnienie obecnie świadczą, że widzi on drogę do zwycięstwa poprzez wyczerpanie sił Niemiec. Jest przekonany, że, tak jak w roku 1918, Niemcy mogą runąć, mimo że ich wojska okupować będą całą Europę.

PRZECIWNIK STRATEGII WIELKIEJ WOJNY

Można by sądzić na pierwszy rzut oka, że Churchill rozumuje kategoriami wojny 1914-18 roku. Przypomina swe poglądy na tamtą wojnę—powie może czytelnik—czyżby nie widział, że ta wojna jest inna, całkiem inna?

Otóż właśnie o to można być całkiem spokojnym. Nie było bodaj większego krytyka tamtej wojny, niż Churchill. Nikt gwałtowniej od niego właśnie nie zwalczał ówczesnej strategii alianckiej, niewolniczo trzymającej się wojny pozycyjnej i nie umiejącej znaleźć dróg dla przezwyciężenia impasu.

Dla Churchilla wojna, taka jaka się toczyła w latach 1916, 1917 i 1918 stanowiła upadek sztuki wojennej. Dowódcy nie umieli się zdobyć na nic innego, jak rzucanie na stos co raz to nowych setek tysięcy żyć ludzkich, aby zdobyć kilkanaście mil terenu. Cała ich mądrość polegała na tym, by "wymieniać życie ludzkie": za jednego zabitego Niemca, jednego Francuza czy Brytyjczyka. Nie była to zresztą nawet wymiana "życia," gdyż stosunek strat z reguły wypadał na korzyść Niemców. Ponieważ zaś aż do wiosny 1918 roczny pobór nowego rocznika dawał Rzeszy więcej żołnierzy, niż wynosiły straty, więc polityka "wymiany żyć" nie prowadziła do niczego. Rezerwy ludzkie Aliantów wyczerpywały się szybciej, niż niemieckie.

Pamiętniki wojenne Churchilla słynne 6 tomowe dzieło "*The World Crisis*," to jeden wielki akt oskarżenia pod adresem polityki wojennej Aliantów. Pod wpływem Francuzów uważali oni front zachodni za decydujący, tam pchali wszystkie swe siły, tracili setki tysięcy ludzi w bezpłodnych, do niczego nie prowadzących ofensywach, nie mieli wizji szerokich możliwości, jakie stały przed nimi dzięki przewadze na morzu. Byli niewolnikami wojny pozycyjnej, która prowadziła do obopólnego wyczerpania. Churchill jest przekonany, że Niemcy same przyśpieszyły swą klęskę stawiając wszystko na jedną kartę w wiosennej ofensywie 1918 roku, podjętej przez Ludendorffa.

Dla jego sposobu myślenia niezwykle znamienne są zdania następujące:

"Jakąż siłę stanowiło by 450.000 ludzi (cyfra strat francuskich i brytyjskich w bitwie w Szampanii w 1915 roku) użytych w Dardanellach, czy na Bałkanach!"

A gdzie indziej, tłumacząc, że nie należy nigdy podejmować ofensywy przedwcześnie, bez dostatecznego przygotowania, woła:

"Gdyby armia brytyjska poświęcona nad Sommą—najlepsza, jaką kiedykolwiek miała W. Brytania—została całkowicie wyszkolona i doprowadzona do maximum sił w lecie 1917, kiedy to, być może, byłoby do rozporządzenia 3.000 czołgów, jak również poważne ilości artylerii, gdyby opracowane były plany stałych, systematycznych postępów — to wówczas — rozstrzygający rezultat byłby osiągnięty za jednym zamachem."



Fotografia ofiarowana przez Churchilla gen. Sikorskiemu. Dedykacja brzmi: "For my friend and comrade General Sikorski from Winston Churchill. January 31. 1942"

ENTUZJASTA CZOŁGÓW

Churchill miał w poprzedniej wojnie zupełnie jasny, konsekwentny program: Przede wszystkim domagał się obejścia frontu zachodniego, bądź przez sforsowanie wejścia na Bałtyk, bądź też przez sforsowanie Dardanelli. Gdy zaś niekonsekwentnie przeprowadzona i przedwcześnie przerwana operacja w Dardanellach zawiodła, gdy uderzenie na Niemcy od tyłu—przez kuchenne drzwi—okazało się niemożliwe, wówczas Churchill zalecał stale: nie marnować sił w przedwczesnych natarciach. Gromadzić wojska, a przede wszystkim czołgi. Uderzyć raz, a dobrze.

Jeśli już koniecznie trzeba przełamywać mur frontu zachodniego, to niech dokonywują tego czołgi. Póki zaś brak własnych sił do decydującego uderzenia, trzeba zmuszać nieprzyjaciela do atakowania. Niech on szturmuje druty kolczaste i gniazda kaemów. Niech będzie zmuszony wystawiać swe skrzydła na przeciwuderzenie. Niech traci swe siły w bezpłodnych natarciach.

Pamiętać trzeba, że Churchill był tym, który forsował czołgi. Gdy dowódcy armii uważali je za zabawki, on—jako Pierwszy Lord Admiralicji nie zawahał się wziąć na siebie odpowiedzialności za zamówienie pierwszych czołgów, do czego nie był w gruncie rzeczy bynajmniej powołany. Później, gdy chciano użyć czołgów przedwcześnie i w niedostatecznej ilości, Churchill błagał, by tego nie robiono. Nie słuchano go jednak . . .

Idee Churchilla w czasie wojny 1914-1918 wybiegały daleko przed poglądy współczesnych mu mężów stanu i dowódców. Tak samo było w latach pomiędzy obu wojnami. Nie było by więc zaiste powodu przypuszczać, że teraz Churchill pozostaje w tyle za biegiem wydarzeń i rozwojem wojny.

PIĘĆ ZASAD CHURCHILLA

Sumując swe doświadczenia z wielkiej zawieruchy w "*The World Crisis*," Churchill ujął swe idee strategiczne w następujące punkty, które pozwolą lepiej zrozumieć jego pogląd na podstawowe zagadnienia wojny:

1. Decydującym teatrem wojny jest ten, na którym każdej chwili może być osiągnięta decyzja. Głównym teatrem wojny jest natomiast ten, gdzie znajdują się główne armie i marynarki. Nie zawsze jest to jednak teatr decydujący.

2. Jeśli fronty nie mogą być przełamane, należy je oskrzydlić. Jeśli te skrzydła opierają się na morzu, manewr oskrzydlający musi mieć charakter amfibijny (lądowo-morski) i opierać się na potędze morskiej.

3. Atakować należy najmniej strzeżone punkty strategiczne, a nie te, które są najsilniej strzeżone.

4. Jeżeli najsilniejsze państwo w koalicji nieprzyjacielskiej nie może być pobite bezpośrednio, ale nie może się utrzymać bez najsłabszego, to należy atakować najsłabsze.

5. Nie należy rozpoczynać natarcia lądowego, póki nie zostały znalezione skuteczne środki—ilość, możliwość zaskoczenia, sprzęt—aby doprowadzić je do końca.

Niektóre z tych zasad mogą wydać się wyważaniem drzwi otwartych. Nie mniej warto je zapamiętać, bo niewątpliwie Churchill i dziś w dużej mierze kieruje się nimi.

Jak widzimy odrzuca on ulubioną w tamtej wojnie niemiecką teorię "uderzenia w serce" czyli atakowania najsilniejszego punktu przeciwnika. Nie jest też zwolennikiem "przebijania głową muru," chyba że głowa będzie uzbrojona w jakiś taran, zdolny ten mur przebić. Natomiast uważa za najlepsze mocne punkty przeciwnika obejść.

Proklamował on już przed laty te zasady, którymi kieruje się w obecnej wojnie "wódz" Hitler i dowództwo niemieckie. Jego koncepcja manewru oskrzydlającego tym się jednak różni od niemieckiej, że, nawiązując do tradycji brytyjskiej, Churchill chce oprzeć się na potędze morskiej, na "*Sea-Power*," że wyobraża sobie ataki na skrzydła nieprzyjacielskie jako operacje lądowo-morskie.

Odblask tych zasad Churchilla możemy znaleźć w jego posunięciach w ciągu 20 miesięcy sprawowania władzy: w rozbudowie słynnych już "Commandos" jako awangardy dla wszelkich operacji amfibijnych, w próbach atakowania Włoch jako słabszego partnera osi, w niechęci do stworzenia — przedwcześnie — drugiego frontu na zachodzie Europy.

MOŻLIWOŚCI JUTRA

Jakie zastosowanie znajdą te zasady w przyszłości — tego oczywiście przewidzieć nie można.. Churchill tego dziś nie wie, bo warunki zmieniają się szybko i plany muszą ulegać ciągłej rewizji.

W każdym razie po linii wyłożonych wyżej zasad szłyby na co raz szerszą skalę zakrojone rajdy "Commandos" oraz większe operacje amfibijne w postaci np. ataku na Norwegię, jako na szczególnie wrażliwe skrzydło nieprzyjacielskie, oparte o morze, tak samo jak na przeciwległe drugie skrzydło—na morzu Śródziemnym.

Po linii tych zasad szłoby atakowanie najsłabszego partnera koalicji nieprzyjacielskiej; przed rokiem były nim Włochy—teraz może być zań uznana np. Finlandia. Wreszcie zgodne byłoby z tymi zasadami gromadzenie przez Aliantów sił—przede wszystkim zaś czołgów i samolotów, jak również niezbędnych do przewiezienia wielkich sił statków—do decydującego uderzenia, a tym czasem zmuszanie nieprzyjaciela za pomocą blokady, bombardowań, operacji dywersyjnych itd., by wyczerpywał się w nieustannych natarciach.

Ongiś, w czasie wielkiej wojny, Alianci w końcu zrozumieli, że trzeba skoncentrować się na jednym wielkim uderzeniu i przygotowywali je na rok 1919, planując między innymi użycie imponującej nawet i dziś ilości 10.000 czołgów. Zanim jednak to uderzenie nastąpiło, Niemcy, wyczerpawszy się w wielkim natarciu Ludendorffa, runęły.

Teraz Churchill znów przygotowuje się do rozstrzygającego uderzenia, ale zapewne liczy, że może i tym razem Niemcy wyczerpawszy się doszczętnie w nowej kampanii na wschodzie, następującej po krwawych walkach ubiegłego lata i zimy, nie wytrzymają zbyt drogo okupionych triumfów.

Niemcy mogą runąć, choć ich armie okupować będą całą Europę i odnosić same zwycięstwa. Przyśpieszyć proces ich wyczerpywania się przez ataki na skrzydłach, nękanie we wszelakiej formie, atakowanie ich słabych partnerów, zmuszanie ich do co raz to nowych ofensyw, a jednocześnie przygotowywanie się do ostatecznego uderzenia na osłabionego wroga—taką wydaje się być w najprostszym ujęciu strategia Winstona Churchilla.

ALEKSANDER BORAY



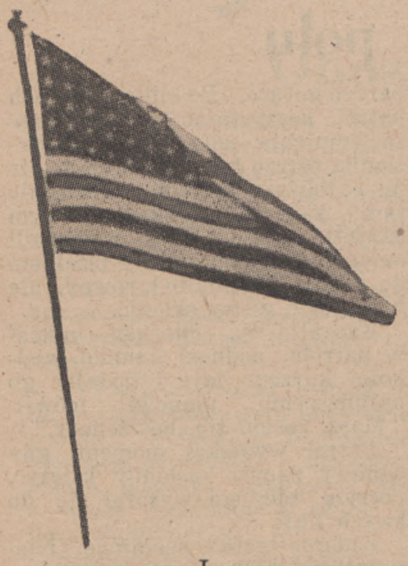
NASZYM CZYTELNIKOM, WSPÓŁPRACOWNIKOM I PRZYJACIOŁOM, CAŁYM POLSKIM SIŁOM ZBROJNYM W WIELKIEJ BRYTANII PRZESYŁAMY NAJLEPSZE, NAJSERDECZNIEJSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE I DZIĘKUJEMY ZA WSZYSTKIE DOWODY ŻYCZLIWOŚCI, SZCZEGÓLNIE ZA POPARCIE ZBIÓRKI NA RZECZ NASZYCH RODAKÓW W ROSJI, KTÓRA W TYM NUMERZE PRZEKROCZYŁA JUŻ TYSIĄC FUNTÓW SZTERLINGÓW ANGIELSKICH. MIŁO NAM JEST OSOBNO I JAK NAJGORĘCEJ PODZIĘKOWAĆ 307 NOCNEMU DYWIZJONOWI MYŚLIWSKIEMU ZA WSPANIAŁY PRZYKŁAD ZBIOROWEJ OFIARNOŚCI NA TEN NAJPILNIEJSZY CEL POLSKI —TAK BOLESNY I TAK NAS WSZYSTKICH ZOBOWIĄZUJĄCY.

KRĄG JEDNOŚCI ŻYCZEŃ I JEDNOŚCI UCZUĆ, KTÓRY NAS ZESPALA NA ZIEMI BRYTYJSKIEJ OBEJMUJE SWOIM UŚCISKIEM BRACI-ŻOŁNIERZY NA BLISKIM WSCHODZIE, W SOWIETACH I W KANADZIE, BRACI-ŻOŁNIERZY W OBOZACH JENIECKICH, W SZWAJCARSKICH OBOZACH INTERNOWANIA, W HISZPAŃSKICH OBOZACH KONCENTRACYJNYCH. TEN KRĄG ŻOŁNIERSKI OGARNIA WSZYSTKICH POLAKÓW CIERPIĄCYCH POD OKUPACJĄ NIEMIECKĄ, PRZEBYWAJĄCYCH NA TERENACH Z.S.R.R. I ROZPROSZONYCH PO CAŁYM ŚWIECIE.

MYŚL NASZA ZAKREŚLAJĄCA TEN KRĄG SERDECZNY ZATRZYMUJE SIĘ NA POLONII AMERYKAŃSKIEJ. WŚRÓD NIEJ PRZEBYWA W TEJ CHWILI GENERAŁ SIKORSKI DLA WAŻNYCH PRAC I WAŻNYCH NARAD, W KTÓRYCH TOWARZYSZY MU PILNA UWAGA, POPARCIE I SOLIDARNOŚĆ WSZYSTKICH CZUJĄCYCH POLAKÓW.

CZUJĄ ONI I WIEDZĄ JEDNO, CZYNIĄ JEDNO: MODLĄ SIĘ I WALCZĄ O ZMARTWYCHWSTANIE DO ŻYCIA BARDZIEJ SWOBODNEGO, PEŁNIEJSZEGO I DOSKONALSZEGO.

Siła zbrojna Stanów Zjednoczonych



I.
AMERYKA—LĄD NIEZNANY

Stosunki pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Europą w okresach pokoju przypominają stosunki rodzinne, ściślej rzecz biorąc stosunki panujące wśród kuzynów, z których jednemu powiodło się w życiu a drugiemu nie. Pokutują pomiędzy niemi stare przesądy, wspomnienia uraz i dąsy, brak im chęci porozumienia się i chrześcijańskiej pobłażliwości w sądach wzajemnych i najczęściej—ujemnych.

Europejczycy z reguły skarżą się na amerykański brak zrozumienia specyficznych stosunków europejskich, tradycji i zwyczajów. Amerykańska "obłuda" i "gruboskórność" są do dziś dnia motywem przewodnim iluż wywnętrzań się w prasie europejskiej. Jankesi ze swojej strony użalają się na europejską małostkowość i fałsz, utyskują, zbyt mało i nieśmiało, na całkowitą ignorancję amerykańskiej historii i instytucji, ideałów i praktyki życia codziennego w polityce i życiu prywatnym.

Jerzy Washington, Jefferson, Abraham Lincoln, Teodor Roosevelt a nawet Woodrow Wilson, ośmieszony, oszkalowany i ostatecznie zamęczony w tej mierze przez wrogów politycznych, co przez ułomności swojego charakteru, byli ludźmi największej klasy w skali międzynarodowej. Idee przewodnie ich jak i działalność posiadają wartość ogólnoludzką, a mimo to w Europie są oni prawie nieznani, w każdym razie mało lub powierzchownie znani.

Podobnie przedstawia się sprawa z ustrojem amerykańskim. Tak np. reformy gospodarcze i społeczne Franklina Roosevelta są najzupełniej fałszywie tłumaczone w Europie chociaż pod wielu względami są punktem zwrotnym historii Stanów i w interesie harmonijnej przyszłości Europy i Ameryki należało by je właściwie rozumieć.

WOJSKO W KTÓRYM SŁUŻYŁ KOŚCIUSZKO

Istnieje jednakże instytucja amerykańska, która jest jednako nieznana i zapoznana w Stanach jak i w Europie. Jest nią wojsko Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Jerzy Washington był z pochodzenia, zawodu oraz instynktów ziemianinem, z konieczności opatrznościowym mężem stanu i pierwszorzędnym generałem z Bożej łaski. On też wygrał wojnę o niepodległość Stanów czynnie a nie biernie, wbrew dosyć rozpowszechnionej w swoim czasie tradycji, iż rola jego była bierna a wojnę i bez jego udziału przegraliby angielscy generałowie.

Niemałą częśc zasług Waszyngtona stanowiła umiejętność trzymania w ryzach podległych sobie oddziałów oberwanej i głodnej milicji, indywidualnie walecznej i zahartowanej w bijatykach z Indianami i wojnach z Francuzami, ale niekarnej i rozlazłej, hordy cudzoziemskich oficerów francuskich, polskich, niemieckich i holenderskich, wśród których było trochę idealistów i ludzi zdolnych, trochę dobrych fachowców i znakomita większość aroganckich i zbankrutowanych szlachciców, spryciarzy, łapserdaków i t.zw. "rycerzy Fortuny" i wreszcie angielskich dezerterów.

Na dobitkę młode i jakże różnorodne wojsko Stanów przeżyło w zaraniu swojego istnienia dziwną tragedię. Jeden z najlepszych i najzdolniejszych jego generałów Benedict Arnold, na skutek skomplikowanych i mało znanych powodów przeszedł na stronę Anglików i w późniejszych walkach odznaczał się szczególną bezwzględnością wobec swoich dawnych pobratymców.

Mimo to wszystko, dzięki sile woli Waszyngtona, "uzbrojona zbieranina"* rozpoczęła istnienie od decydującego, wspaniałego zwycięstwa — wywalczenia niepodległości swojego kraju.

USTRÓJ WYWALCZONY PRZEZ TO WOJSKO

Amerykańska wojna o niepodległość była nie tylko ruchem wyzwoleńczym. Ta jej strona, w pierwszym szczególnie okresie walk, przedstawia się dość mętnie. Ogół ludności 13-u Stanów bynajmniej nie był jednomyślny co do zerwania związków z Koroną Brytyjską. Założenie niepodległego państwa nie obyło się bez wygnania dziesiątków tysięcy t.zw. "lojalistów," bez konfiskat i gwałtów.

Wojna ta była poza tym, czy nawet przede wszystkim, ruchem społecznym i gospodarczym, rewolucją w ścisłym tego słowa znaczeniu. Adwokaci bostońscy byli tu tylko iskrą, od której powstał pożar, a nie samym pożarem. Niezadowolenie z istniejących stosunków społecznych i gospodarczych w angielskich koloniach północno amerykańskich było w drugiej połowie XVIII-go wieku żywe i powszechne, prawie bez względu na podział klasowy. Jasne jest, iż w podobnych warunkach twórcy konstytucji amerykańskiej byli w absolutnej większości republikanami i to jak powiedzielibyśmy dzisiaj o zdecydowanie radykalnym zabarwieniu. W Stanach też od samego początku zniesiono przywileje rodowe i tytuły, przeprowadzono rozdział kościoła od państwa, zlikwidowano nadania królewskie i monopole koronne.

Tomasz Jefferson, najgłębszy może i najbardziej wykształcony z pośród "ojców narodu," ideał państwa widział w demokracji rolniczej, wolnym związku średniozamożnych osadników, surowych i republikańskich. Państwo wielkokapitalistyczne i wyniesienie prawa własności ponad wszelkie inne dobra, głoszone w pierwszym okresie istnienia Stanów Zjednoczonych przez Aleksandra Hamiltona, zdolnego polityka i ekonomistę, doszło w Ameryce Północnej do głosu znacznie później, podczas żywiołowej ekspansji na Dziki Zachód, na wielkie prerie ku wybrzeżom Oceanu Spokojnego.

Przy tego rodzaju tradycjach ustrojowych, władza wykonawcza jest zawsze trochę podejrzana w oczach ogółu obywateli. W konstytucji amerykańskiej jest też ona jak najściślej odgraniczona od władzy ustawodawczej i od wymiaru sprawiedliwości.

* *Rabble in Arms*"—ówczesne przezwisko wojsk amerykańskich. Pod tymże tytułem ukazała się przed paru laty książka amerykańskiego pisarza Kenneth Robertsa, dająca doskonały obraz tamtych czasów i stosunków.

POZYCJA SPOŁECZNA WOJSKA W STANACH

Siły zbrojne państwa, ramię władzy ustawodawczej w Stanach było również "podejrzane" wśród farmerów Nowej Anglii, kupców i adwokatów Bostonu, Filadelfii i Nowego Jorku, jak i wśród ziemian Stanów Południowych.

Budżety wojskowe na przestrzeni przeszło stupiędziesięciu lat historii amerykańskiej odznaczają się jedną cechą charakterystyczną: tak długo jak krajowi nie zagraża bezpośrednio wojna albo w ogóle nie jest on wmieszany w działania wojenne, wydatki na siły zbrojne kurczą się niesłychanie. Nie ma pieniędzy w skarbie federalnym na najpotrzebniejsze doświadczenia, na odpowiedni żołd i zaopatrzenie.

W chwili rozpoczęcia działań wojennych albo w ich obliczu budżety Departmentu Wojny rozrastają się nagle i niespodziewanie. Jednocześnie rozpoczyna się kampania prasowa oskarżająca generałów i sztaby o nieudolność, o kunktatorstwo i brak energii. Niepowodzenia na polu walki, nawet wytłumaczalne i wybaczalne, komentuje się jako dowód małpiej złośliwości zramolałych żołdaków.

A tymczasem brutalny i niechętny stosunek do wojska, jaki zawsze cechował opinię społeczną w Stanach jest nie tylko niezasłużony, ale jest wręcz potworną niewdzięcznością. Mało bowiem w jakim kraju na świecie nieliczne, źle płatne, zapomniane i niezrozumiane wojsko w tym stopniu zasłużyło się swojemu krajowi co właśnie w Stanach Zjednoczonych. I to nie tylko jako obrońca, ale jako czynnik cywilizacyjny. Dość nieoczekiwanie najbliższe podobieństwo z tym stanem rzeczy mogą chyba stanowić stosunki panujące w Polsce przedrozbiorowej w drugiej połowie XVI-go wieku i w pierwszej XVII-go wieku.

NA "DZIKICH POLACH" AMERYKI

W XVIII-ym i XIX-ym wieku nie licząc pięciu wojen, w tym jednej "totalnej" wojny domowej 1861-1865, mało znanej i całkiem mylnie komentowanej w Europie i współczesnej i owoczesnej, siły zbrojne Stanów Zjednoczonych były stale w polu.

Na zachodnich krańcach cywilizacji, stale i co raz szybciej przesuwających się ku Oceanowi Spokojnemu, prawo i porządek społeczny przestawały obowiązywać. O kilkadziesiąt mil od torów kolejowych, na zachód od Wielkich Jezior panowała wszechwładnie dzicz i bezprawie jeszcze w czasach, kiedy Henryk Sienkiewicz podróżował po Ameryce Północnej. Nieliczące się z nikim i niczym towarzystwa kolejowe i spółki hodowlane czy górnicze, Indianie groźni tym bardziej, że doprowadzeni do rozpaczy ciągłym łamaniem uroczystych "wieczystych" traktatów, warujących im posiadanie terenów łowieckich i koczowniczych, wreszcie zbiorowiska zbrodniarzy większych i mniejszych, teroryzujących całe miasta —stwarzały warunki, w których normalny obrót gospodarczy i gromadzenie dóbr duchowych i materialnych stawało się niezwykle utrudnione, jeżeli nie wręcz niemożliwe.

Daleko posunięta niezawisłość poszczególnych stanów wobec władzy federalnej, cechująca również terytoria dopiero co i niedokładnie skolonizowane — utrudniały naprawę istniejącego stanu. Rząd federalny dla utrzymania mocy praw polegał wyłącznie na drobnych oddziałach swoich wojsk rozsianych na krańcach cywilizacji, jako na opiekunie, obrońcy przed Indianami i arbitrze w krwawych i częstych sporach między różnymi grupami szybko i niezawsze uczciwie rosnącego kapitału. Jak dalece służba żołnierza amerykańskiego było niewdzięczna i niebezpieczna w tamtych czasach może chociażby zilustrować fakt, iż jeszcze w roku 1876-ym 7-my pułk kawalerii Stanów z generałem Custerem na czele został wycięty w pień przez Siuxów najlepszych kawalerzystów prerji, dowodzonych przez słynnego Sitting Bull'a, czarownika i plemiennego wodza.

Pacyfikacja każdego nieomalże stanu na zachód od Mississippi jest w tejże mierze zasługą osadników zakładających na bezludziu nowe osiedla, co wojska, które minimalnymi środkami broniło ich w obliczu wielkich niebezpieczeństw. Z tą małą różnicą jednak, iż w miarę odpływania Indian i awanturników na zachód nowe miasta i wsie w spokoju bogaciły się i rozwijały, żołnierz natomiast szedł w ślad za cofającym się barbarzyństwem.

Z "PREZYDIÓW" NA DALEKIE LĄDY

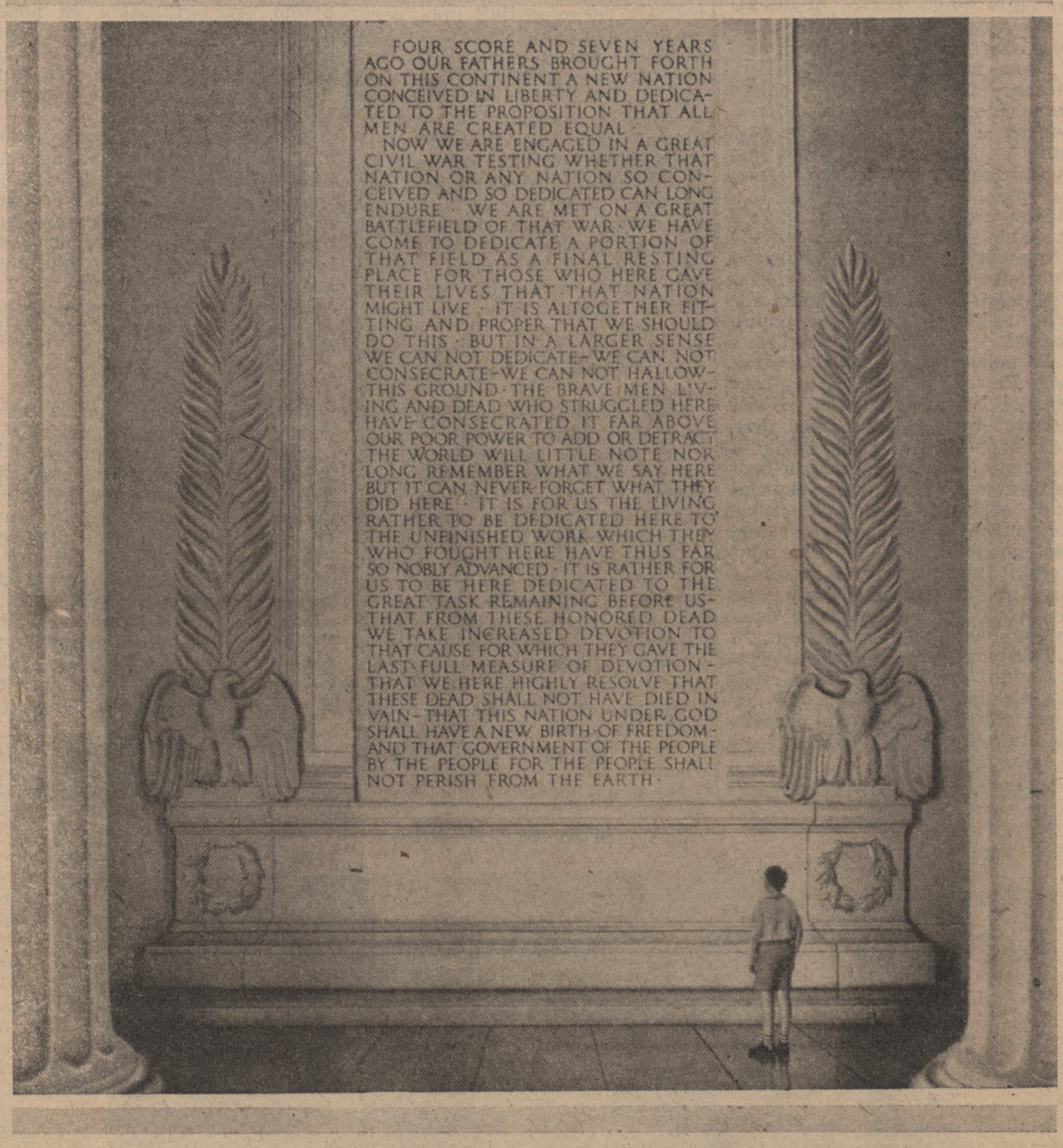
Kiedy około roku 1890 t.zw. "Dziki Zachód" urzedowo przestał istnieć, wojsko amerykańskie zostało zamknięte w prezydiach, t.zw. "fortach," położonych w pewnej odległości od ważniejszych ośrodków. W czasach tych żołnierz był przykrym przypomnieniem, iż mimo wszystko rząd federalny posiada realną siłę i może jej, aczkolwiek rzadko i niechętnie użyć. Wojsko było wówczas przypomnieniem, iż mimo wszystko każdy rząd i każda administracja posiada cele moralne. Było to niewygodne w czasach, kiedy w Pennsylwanii nieboszczyk Rockefeller zbijał fortunę na trupach swoich konkurentów.

Stan ten trwał przez kilka lat zaledwie. W roku 1898-ym wybuchła wojna hiszpańsko-amerykańska. Osobiste przewagi bojowe Teodora Roosevelta na Kubie, głoszone przez wszechmocny koncern prasowy Hearsta okryły dwugroszową chwałą żołnierza amerykańskiego. Może dlatego iż jednocześnie opuścił on na kilkadziesiąt lat terytorium Stanów wojując, kolonizując i pilnując Filipin, Kuby, Haiti, Nikaraguy, chińskich koncesji i wysp na Pacyfiku. Niezawsze zresztą służąc pięknym celom na Antyllach i gdzie indziej w Ameryce Środkowej. W czasach kiedy rola jego była naprawdę wspaniała, aureola romantyzmu otaczała bandytów i koniokradów a nie granatowe kaftany, służące macoszemu krajowi za mizerny żołd i jeszcze mniejszą pensję emerytalną.

ROK 1917

W 1917-ym roku Stany Zjednoczone Ameryki Północnej wypowiedziały wojnę państwom centralnym. Od istnienia i jakości żołnierza amerykańskiego w znacznym stopniu zależało teraz i zwycięstwo Sprzymierzonych i samo istnienie Stanów. Żołnierz, jak podczas wojny o niepodległość i wojny domowej stał się symbolem całego narodu.

CZESŁAW JEŚMAN



"Lincoln's Memorial" w Waszyngtonie. Napis w wolnym przekładzie brzmi:

Osiemdziesiąt siedem lat temu ojcowie nasi powołali do istnienia na tym kontynencie nowy naród poczęty w wolności i mający służyć prawdzie, iż wszyscy ludzie stworzeni przez Boga są równi.

Teraz prowadzimy wielką wojnę domową, która stanowi próbę, sprawdzającą, czy ten naród albo w ogóle jakikolwiek inny tak poczęty i służący takiej to sprawie—zdoła przetrwać. Spotykamy się na wielkim polu bitewnym tej wojny. Przyszliśmy, aby część owego pola przeznaczyć na miejsce wiecznego spoczynku dla tych, którzy położyli tutaj życie za to, aby żyć mógł naród. Jest to i odpowiednie i słuszne, że tak czynimy. Ale w istocie rzeczy nie możemy ani niczego przeznaczyć—ani poświęcić—ani nie jest to w naszej mocy—uświęcić tę ziemię. Ci mężni żywi i umarli, którzy tu walczyli poświęcili ją już tak ofiarnie i ostatecznie, że nie jest w naszej władzy nic dodać ani ująć. Świat niewiele zwróci uwagi na to i niedługo zachowa w pamięci to, co my tutaj zdołamy powiedzieć, ale nie zapomni nigdy tego, czego tu dokonali oni. To raczej my żywi winniśmy się na tym miejscu poświęcić niedokończonemu dziełu, które ci, co tu walczyli, tak szlachetnie rozpoczęli. To raczej my winniśmy się tu poświęcić wielkiemu czekającemu nas zadaniu—aby przejąć od tych czcigodnych umarłych głębsze oddanie sprawie, dla której oni okazali oddanie najbardziej pełne i ostateczne—aby zaprzysiąc, że śmierć tych poległych nie będzie daremna—że ten naród za pomocą Boga wyda na światło nową wolność—i że nigdy nie zaginie na ziemi władza narodu, sprawowana przez naród, dla dobra narodu.

Wojsko Polskie w walce: Libia

Obrazki tobruckie



rys. Zdzisław Borysowicz

W całej obecnej wojnie światowej—jak dotąd—Tobruk był tylko jeden. Wszystkie inne próby zorganizowania podobnej, izolowanej obrony nie powiodły się. Tobruk też w tej wojnie miał swoje specyficzne prawa. Właśnie groza walki tobruckiej w połączeniu z melancholią pustyni, straszliwie jałowej i okropnie odległej, stworzyła tę odrębność. W Tobruku zatriumfował człowiek — dobra strona duszy ludzkiej.

Obie strony walczące miały nieprzyjaciela nie tylko w okopach, naprzeciw. Miały go też w naturze, dookoła. I często ten drugi nieprzyjaciel bywał groźniejszy, stawało się przeciw niemu oko w oko, nie bacząc na chwilowe poczynania wroga właściwego. A ponieważ ten nowy nieprzyjaciel był równie niebezpieczny dla obu stron, następowało czasem krótkie zawieszenie broni.

Pierwszym wrogiem był głód. Nie było mowy na większej części polskiego odcinka o doniesieniu strawy pod ogniem. W tym samym położeniu był nieprzyjaciel. Więc po zachodzie słońca milkły w okopach wszystkie bronie, a rozlegał się miły brzęk naczyń kuchennych. Żołnierze wyskakiwali z pozycji, oczywiście chyłkiem, choć wtedy nic nie groziło, i wciągali do płuc świeże powietrze, rozprostowywali zbolałe kości i poprawiali swe miejsca.

Ten czas rozejmu kolejno urastał do kilku godzin. W pojęciu żołnierzy byłoby hańbą ten czas przerywać, boć przecież mogłyby być straszne skutki dla oddziałów własnych. Nawet, gdy artyleria wielogodzinną nawałą przewracała każdy skrawek pozycji nieprzyjaciela, punktualnie o godz. 7-mej cichły wszystkie baterie. I zaraz potem po jednej stronie nadszedł makaron, po drugiej "corned beef."

Spokój wieczorny wkrótce przyjął się na całym prawie perymetrze, lecz pełny i konsekwentny był jedynie na Meduarze. Nie był on też pozbawiony głębszego liryzmu. Na pewnym odcinku, z chwilą nastawania "zawieszenia broni" rozpoczynał się po obu stronach koncert instrumentów muzycznych, grany naprzemian. Z naprzeciwka rozlegały się oklaski.

Rycerskość nakazywała w razie jakiegoś przypadkowego strzału przeprosić przeciwną stronę. Do tego celu służyły rakiety lub świetlne pociski strzelane w górę. Przeciwna strona na znak zgody odpowiadała w ten sam sposób. Również koniec "przerwy" ogłaszało się wiązką świetlnych pocisków, strzelanych w górę.

Drugim wrogiem była śmierć i rany. Gdy pewnego razu krwawo załamało się natarcie Australijczyków na Meduarze, nieprzyjacielscy lekarze wyszli opatrywać rannych. Od tej pory Czerwony Krzyż zapanował nad pozycjami. Na ten znak ogień ustawał, aż rannego lub zabitego odniesiono do tyłu. Znaku tego nie nadużywano. Gdy raz Włochom zaginął proporczyk z Czerwonym Krzyżem, jeden z nich wyskoczył, krzycząc: "Signori Polacchi—morto!" Biała rakieta poszła w górę . . .

Jeńcy w Tobruku traktowani byli po rycersku. Miękkie serca polskie oczywiście każdego jeńca karmiły i poiły, wkładając mu na drogę żywność do kieszeni, ile wlazło. W szpitalu tobruckim pracował jeniec włoski, który brał udział w 1920 r. w bitwie o Warszawę, jako ochotnik. Zawsze z wdzięcznością wspominał on o stosunku Polaków do włoskich jeńców w Aleksandrii. Po rozpoczęciu brytyjskiej ofensywy w szpitalach obok siebie leżeli Polacy, Niemcy, Nowozelandczycy, Anglicy i Włosi—wszyscy jednako pielęgnowani.

Jednakże najpiękniejszym przejawem triumfu człowieczeństwa w Tobruku była słynna powódź pustynna. Było to w dniach 17, 18 i 19 listopada ub.r. Od kilku dni gromadzące się potworne chmury, nawiane gwałtownymi wiatrami, spadły na ziemię późnym wieczorem 17 listopada. Tak zapewne wyglądają deszcze tropikalne, gdyż w kilku minutach zewsząd już płynęły strugi. Głębokie jary z tajemniczo poszarpanymi głazami odsłoniły teraz swą zagadkę, napełniając się spiętrzonymi wielometrowymi bałwanami. Woda wezbrała tak szybko, że na odcinku zachodnim zatonął jeden Czech, a wielu Polaków cudownie tylko się uratowało.

Wszystkie ziemianki i okopy wypełnione są po brzegi wodą, schrony kamienne tak samo. Broń, amunicja, sprzęt żołnierski pływają. Rakiety nerwowo płoną na całym odcinku. Nie ma mowy o siedzeniu po szyję w błotnistej wodzie. Zresztą po co, gdy amunicja niemal w zupełności zniszczona. Żołnierze więc tłumnie wychodzą ze stanowisk. Nieprzyjaciel strzela jakiś czas, potem przestaje. Znów Boża opieka sprawiła, że nie było ofiar.

Wczas rano, jakby na jakieś magiczne hasło, wszyscy w jednym momencie wyskakują z pozycji. Rozkaz — zaprzestać wszelkiego ognia! Zaczyna się praca nad uporządkowaniem okopów. Toczą się całe rzeki wody i błota. Kto nie ma pracy, odpoczywa. Żołnierze obu stron patrzą na niebo, rozmawiają, grzebią dotąd niepochowanych zabitych. W powietrzu wisi jakaś błogość. Nigdzie, nigdzie nie grzmią działa, nie padają pociski.

Po południu próbuje ktoś strzelać. Powoduje to żywe protesty. Włosi i Niemcy machają rękami. Dobrze—biała rakieta. Jest przecież okropnie. Wszystko zmoknięte, ludzie przeziębieni, broń trzeba wyrywać z błota, po rzeczy chodzić setkami metrów, szukać porwanych koców. Nad ranem następnego dnia znów białe chusteczki po stronie włosko-niemieckiej. Zatem dalej "zawieszenie broni." I jeszcze jeden dzień potem spokojny—do południa.

Tak to wspólna niedola połączyła jednej chwili ludzkie serca—bez rozkazów i rokowań. W pamięci obrońców Tobruku pozostanie ta chwila głębokim rysem w duszy.

JAN BIELATOWICZ

"Polish Lancers" w polu

Mówi się, że w wojnie nowoczesnej kawaleria bez koni przestała być kawalerią, że po prostu umarła, że kawaleria zmotoryzowana jest bronią nową, bronią pancerną.

Jak jest w rzeczywistości, okazało się dobitnie w Tobruku. Oddziały kawalerii oddały wprawdzie konie, ale nie wyzbyły się swej tradycji, swego specyficznego wychowania i nastawienia wojennego, wyrażającego się w rozmachu, szybkiej decyzji i szybkim działaniu, w fantazji, a często ryzykanctwie i zawadiactwie bojowym.

Zalety te ujawniły się w całej pełni zwłaszcza w działaniach patrolowych i wypadach, w których brawura bojowa naszych ułanów wystąpiła w całej pełni. Mimo, że patrole i wypady były niemal codzienne, ochotnicy zgłaszali się tak licznie, że nie wszyscy mogli brać udział.

Dziś, gdy bohaterska obrona Tobruku przeszła już do historii, ułani i ich dowódcy nie bez pewnej chluby wspominają o swych przeżyciach.

* * *

St. wachm. Po. z Brygady Kawalerii Kresowej w kampanii wrześniowej walczy do ostatniej chwili. Ranny, dostaje się do niewoli. Udaje się mu zbiec z obozu jeńców pod Berlinem, przejść przez granicę węgierską i dotrzeć do swoich. Jest fanatycznym strzelcem. Zna każdą broń. Ostatnio zapoznał się nawet z arkanami armaty polowej. Korzysta z każdej sposobności, by odpłacić się wrogom.

Z dowództwa przychodzi rozkaz zniszczenia szczególnie silnie umocnionej pozycji npla pod Meduarem. W nocy na wysuniętym punkcie przed własną linią, w odległości 300 m od linii npla, przygotowano stanowisko dla armaty polowej. Podciągnięto na nie zdobyte działo włoskie, zamaskowano starannie i dowieziono amunicję.

Rano st. wachm. Po. z trzema ludźmi otwiera ogień. Podmuch własnych wystrzałów wznieca tumany kurzu, który zasłania widok. Strzela "po lufie," bez posługiwania się przyrządami celowniczymi. Ogniem kieruje przydzielony do pułku obserwator artylerii ppor. X. Skutek działania ogniowego działa okazał się doskonały. W powietrze wylatują fontanny kurzu, deski, szmaty i części okopów. "Bunkry" /okopy/ włoskie walą się.

Już po kilku strzałach Włosi zareagowali silnie ogniem ciężkich i najcięższych karabinów maszynowych, ostrzeliwując stanowisko działa. Z dalszych pozycji dołącza się wkrótce ogień moździerzy i artylerii włoskiej. Na stanowisku robi się gorąco. St. wachm. Po. mimo szalonego ognia trwa jednak na stanowisku. W ciągu trzech godzin wystrzelał około 100 pocisków. W pewnym momencie zauważa, że nabój wprowadzony do lufy natrafia na opór. Bada lufę i wyjmuje z niej odłamek żelaza z pocisku npla. Po wystrzelaniu amunicji obsługa wycofuje się do własnych linii.

Na drugi dzień po dowiezieniu amunicji historia powtarza się na nowo. St. wachm. Po. otrzymuje zadanie zniszczenia drutów kolczastych i pól minowych na przedpolu celem przygotowania natarcia. Armata szerzy dalej spustoszenie. Po każdym prawie wystrzale armaty, ułani w okopach krzykiem wyrażają swą radość, wołając: "Makarony w powietrze," "Finito Benito."

Zadanie zostało wypełnione w całości. W nocy pułk wykonał natarcie i poszedł naprzód.

St. wachm. Po. zapytany przez piszącego te słowa, gdzie nauczył się strzelać z armaty, powiada: "nie jestem artylerzystą — to artylerzyści pokazali mi ładowanie i rozładowanie oraz strzelanie do celu bezpośredniego."

* * *

Ułański patrol zbiorowy pod dowództwem rtm. Sm. otrzymał do wykonania zadanie uchwycenia umocnionego wzgórza 22, wzięcia jeńca i przeprowadzenia rozpoznania na wzgórzu 32. Dowódca pułku mjr. B. zajął stanowisko na punkcie obserwacyjnym "Koka." Wypad przeprowadzony był po cichu bez przygotowania ogniowego.

W ciężkim górskim terenie szwadron podszedł na odległość szturmową pod stanowiska npla, likwidując po drodze bez strzałów jego ubezpieczenia. Na rozkaz dowódcy szwadronu ułani ruszyli biegiem do szturmu. Rozległy się naprzód zdenerwowane okrzyki "alt" /stój/, a w sekundę potem zabłysły rakiety i rozpętał się ogień karabinów maszynowych, moździerzy i granatników zaskoczonej obsady zaatakowanego wzgórza.

Mimo dużych strat szwadron wdarł się w stanowiska npla i bagnetem oraz granatem po półgodzinnej walce zlikwidował opór i zdobył redutę włoską, kładąc trupem kilkudziesięciu Włochów. Reszta rozpierzchła się korzystając z ciemności.

Wzięto dwóch jeńców. Jeden, gdy mimo ostrzeżenia począł uciekać—zginął, zaś drugi zeznał ważne szczegóły o siłach i ruchach nieprzyjacielskich. Zeznanie jego umożliwiły potem rozbicie kompanii włoskiej wraz z plutonem karabinów maszynowych.

Jeniec ten, kończąc swe zeznania uradowany zawołał: "Finita Guerra."

* * *

Patrol otrzymuje rozkaz sprowokowania ognia npla, celem rozpoznania ilości i rozmieszczenia broni na grzbiecie wzgórza Big Sangar. Jest jasna noc księżycowa, po niebie przewalają się chmury, za które chowa się księżyc. Patrol podsuwa się pod linię npla, otwiera ogień z broni ręcznej, maszynowej i granatników. Na linii włoskiej i tyłach zakotłowało się. Nieprzyjaciel reaguje morderczym ogniem ze wszystkiej broni, jaką posiadał na tym odcinku. Trzeba się było wycofywać zgodnie z rozkazem.

Korzystając z zagłębienia terenu, patrol skierowuje się do najbliższego wąwozu, lecz i tam jest bardzo gorąco. Po kilku minutach patrol, korzystając z chwilowego zaciemnienia, gdy chmura przesłoniła tarczę księżyca, wspina się na najbliższy grzbiet, ale właśnie tam księżyc blaskiem swym oświetlił teren. Włosi wzmocnili ogień. Patrol przywarł plackiem do ziemi. Teren był równy, nie było gdzie głowy skłonić.

Kapral W., biorący udział w patrolu, podnosi kamień wielkości kurzego jaja i podając go najbliższemu ułanowi mówi: "Masz, zasłoń się, boś żonaty."

Patrol wyczekał moment, gdy chmury znowu zasłoniły księżyc, poczym biegiem wycofał się do swych linii.

Zadanie zostało spełnione. Nieprzyjaciel odsłonił swe karty.

* * *

Wieczorem, gdy na linii panował względny spokój, plut. Ch. ustawia na poprzek dwa karabiny ze skrzyżowanymi lufami, ładowane pociskami świetlnymi koloru czerwonego. Na dany znak równocześnie pociąga spusty obu karabinów. Na gwieździstym nieboskłonie pustynnej nocy libijskiej ukazuje się piękny czerwony znak świetlny litery V.

Włochów ogarnia wściekłość. Reagują ogniem, na który odpowiadają nasi.

* * *

Kapral W., najstarszy ułan z pułku, jest żołnierzem o bogatej przeszłości bojowej. Już z niejednego pieca na frontach wojennych jadał chleb, a przytym rozmowny i filozof. Jako osadnik wojskowy na Kresach wschodnich poszedł na wojnę. Z zawodu stolarz, krzepki i pełen fantazji. Jest zwolennikiem starej maksymy: "Humor to zdrowie." Jego zdaniem, humor na froncie ma wybitne właściwości lecznicze, w szczególności odnośnie żółtaczki. Twierdził: "Kto nie miał humoru—zaraz chorował na żółtaczkę." Jest zdecydowanym przyjacielem trunku, bo trunek daje natchnienie!

Zagadnięty, jak czuł się na froncie w Tobruku, opowiada z ożywieniem:

"W Tobruku objęliśmy pozycje po Hindusach. Na odcinku tym dotąd był względny spokój. Włosi mało strzelali. Po objęciu przez nas stanowisk nastąpił ruch. Nasza akcja patrolowa na przedpolu dała im się zaraz odczuć. Patrole nasze podchodziły aż pod ich linie. Napastowaliśmy ich ogniem a zwłaszcza ich patrole tak, że wkrótce zaprzestali wysyłania patroli. Wnet też dowiedzieli się, że mają do czynienia z Polakami. Dali nam o tym znać przez radio. Rozpoczęli też nas gwałtownie ostrzeliwać z wszelakiej broni. Nasi odwzajemniali się.

Nie obeszło się też bez ofiar. Raz z placówki naszej, wystawionej w dzień na przedpolu, przychodzi goniec i donosi, że stanowisko nasze rozbił włoski pocisk artyleryjski i są ranni. Natychmiast w sześciu idziemy na miejsce, na szczyt wzgórza gdzie była placówka. Włosi zobaczyli nas i spotęgowali ogień. Idziemy a miejscami czołgamy się naprzód. Odwalamy bloki, worki i wyciągamy rannego kolegę. Plut. P. bierze go na plecy i wśród ognia przenosi do naszych linii. Drugiego, ciężko rannego, układamy na nosze i ja ze st. uł. M. przenosimy do jaru położonego o jakie 50 m. za stanowiskiem. Włosi, widząc nas, bili jak wściekli, lecz bez skutku.

Innym razem przyszli na mój odcinek korespondenci wojenni angielscy i australijscy z dowódcą, mjr. B. Major mówił do nich, że mam 51 lat. Fotografowali mnie. Zapraszałem ich, by przyszli sobie postrzelać. Jeden z nich zapytał się, jak się czuję? Mówię: "Chyba lepiej być na wojnie nie może jak tu—jest ciepło"! Drugi zaś pyta się jak długo myślę tu jeszcze być, a ja odpowiadam: "Do końca wojny albo do śmierci." Zaśmiali się i poszli.

Na lewo od nas byli Australijczycy. Byli oni z tego bardzo radzi. Odwiedzaliśmy ich. Częstowali nas czym mogli. Mówiłem im, że przyjdzie nas tu dużo. Bardzo się cieszyli, ufali nam. Czuli się przy nas, jakby nas tam było dziesiątki tysięcy. Biją się znakomicie. Rzucają się wprost śmierci w oczy."

BRONISŁAW KUŚNIERZ

Przyjaźń polsko-australijska



Wojsko Polskie w odbudowie: ZSRR

Obóz na wysokim wzgórzu

Stoję na schodach dworca w Tocku i patrzę bezradnie na czarne morze błota, które bierze początek tuż u mych stóp i rozlewa się szeroką falą w bezkresną, niedościgłą dal aż po lekko sfalowane wzgórza, widniejące daleko na horyzoncie. W wyobraźni mojej umieszczam obóz właśnie tam, na wzgórzach, ponad błotnym morzem.

—"Pani do obozu?"—salutując mi z uśmiechem, pyta młody podchorąży. Załatwiam formalności, pokazuję przepustkę i jadę zgrzytającą maszyną, oparta o wory z mąką /makaron i chleb dla naszych żołnierzy/.

Samochód jak łódź zanurza się w gęstą falę i z jękiem i sapaniem posuwa się naprzód. Już przejeżdżamy ongiś triumfalną bramę. Turkoce na wietrze i powiewa nasz biało-czerwony znak. Jeszcze znać na nim ślady złożeń.

Dwa lata leżał ukryty na Twojej piersi, żołnierzu, czuwający na chwilę osobliwą w obozach Kozielska, Starobielska, w tajgach Syberii, puszczach maryjskich. Pozdrawiam Cię, Ukochany, żołnierskim salutowaniem, pozdrawiam Cię w imieniu wszystkich kobiet, uświęconych Twą barwą w szeregach Polskiego Wojska.

Z bijącym sercem wchodzę do największego domu w obozie—tu siedziba sztabu. Ogarnia mię tam atmosfera skupionej, poważnej pracy. A jednak moja mała, prywatna, osobista sprawa nikogo tu nie dziwi—nikt mi nie daje odczuć, że przeszkadzam. Każdy chce mi pomóc. Gromadzi się dokoła mnie grupka oficerów. Przecież jestem w Polsce, myślę trochę nieprzytomnie, wszyscy oni swoi, najbliżsi, łamią się ze mną, jak opłatkiem w wieczór wigilijny, kawałkiem Ojczyzny.

Za chwilę wędruję z przewodnikiem do siedziby artylerii. Wędrówka 3 km. Mijamy długi, biały budynek O.Z.A. i grupę skleconych z dykty, przeświecających wnętrzem baraków. Tu i tam snują się grupy pracujących żołnierzy. Ci kopią rowy, tamci sypią piaszczyste przyźby, mające ochronić obóz letni przed ruską zimą. Zniknęło błoto: po piaszczystych drogach i dróżkach noszą cegły, wapno, deski na nowe baraki, drzewo na opał, ławy i stoły do świetlic. Wszędzie widać żelazną organizację i mądrą, przewidującą, przezwyciężającą wszelkie przeszkody myśl.

Wkraczamy w miasteczko namiotów. W miasteczku nie pobłądzisz. Prowadzą cię drogowskazy, strzałki z objaśniającymi napisami. Przed namiotami schludne, zimowe ogródki, kwietniki, ułożone z małych kamyków emblematy — misternie wyrzeźbione z kawałków lodu.

Odkrywam brezentowe drzwi namiotu, w którym mieszka mój mąż. Pod białą ścianą osobliwe łoże z ubitej ziemi, przysypane uschniętymi badylami perzu i rozmaitego ziela; w głowach zwinięte koce i plecaki. W środku króluje ulepiony własnoręcznie piecyk—duma nieszkańców namiotu, przy drugiej ścianie stół z papierami ach, to przecież kancelaria.

Otacza mnie grono kolegów męża. Nie mogę martwić się, że jego jednak tu nie ma w tej chwili. Nie wolno mi martwić się, ani nie wolno współczuć tym uśmiechniętym oficerom i żołnierzom, że tak cienkie ściany chronią ich przed nadchodzącym chłodem i tak twarde łoże daje im wypoczynek. Już bowiem pochwycili mój pełen troski wzrok, ogarniający ich biedę i już por. S. zawstydza mnie:

—"Dobrze nam tu, ach jak dobrze proszę pani, po lagrach i więzieniu."

I młody podporucznik w pięknym mundurze i stary, gruby wachmistrz w bielejącej watą fufajce i kapral w damskich botach patrzą na mnie radośnie, z jasnym uśmiechem opowiadając o "służbie." To słowo wypowiada się tu tak samo, jak słowo "BÓG," jak słowo "Ojczyzna." Tak należy, myślę, tak należy—przecież tak należy: BÓG, OJCZYZNA I SŁUŻBA to przecież jedno.

Spędzam w namiocie długą, najmilszą godzinę i jem razem z nimi, z rozkazu porucznika, ich żołnierski obiad z kotła. Przewidziane racje zmniejszyły się, objaśniają mnie, ale zato nas tu cztery razy więcej, niż być miało i tak jest dobrze. Tak jest dobrze—powtarzam sobie.

W powrotnej drodze patrzę na grupy, ćwiczące musztrę. To ci sami z uczastków, z lasu, z robót spławnych. Ci sami spotykani na statku, w pociągu, w tych samych jeszcze łachmanach i bez butów. Ci sami śpieszący do Wojska Polskiego. Odmieniono im tylko oczy. Nie widzę smutnych, głodnych, zgaszonych, beznadziejnych spojrzeń—lśnią źrenice światłem zapału.

—"Transport butów i mundurów już w drodze"—objaśnia mnie mój przewodnik.

"Co to znaczy?—myślę tu, w tych letnich namiotach—tu, na piaszczystych ścieżkach spotkałam pierwszorzędny, wartościowy materiał ludzki—tu znalazłam, odzyskałam znowu polskiego prawdziwego żołnierza.

Nocuję w chatce na kurzych nóżkach—tak nazwałam maleńki, dyktowy, gościnny domek, zamieszkały przez trzy panie, pracujące w sztabie, intendenturze i w szpitalu.

—"Proszę pani—mówi ochrypniętym głosem młoda kobieta o tragicznej twarzy—po dwuch latach tułaczki mamy znowu dom i opiekę. Gdyby mi nie było wstyd, płakałabym ze szczęścia, niech tylko będę zdrowa wezmę się do pracy, że no!"

—"Niech pani zmierzy temperaturę"—gasi jej zapał lekarz i okrywa wychudzone ramiona ciepłym kocem.

—"Proszę to zjeść"—krzyczy od progu stary brodacz-kapitan wnosząc mleko i jajka dla chorej.

—"Dostajemy mundury"—woła radośnie młodziutka dziewczyna pracująca w szpitalu—jest to pierwsza wiadomość z całego dnia, pracowicie spędzonego w szpitalu obozowym—jutro idziemy mierzyć."

Jutro zaczyna się niespodzianką. Wczesnym rankiem przychodzi nieoczekiwanie na inspekcję komendant obozu. Ogólna konsternacja prędko zamienia się w rozrzewnienie, kiedy wydaje rozporządzenia, aby wstawiono podwójne okna, uszczelniono drzwi i ściany, aby paniom było dobrze.

W południe odwiedzam kasyno garnizonowe. Długie, zaścielone białymi obrusami stoły, przy nich oficerowie, oddzielny stół dla pań. Puste miejsce dowódcy—generała. Gdy wchodzi z odkrytą piękną głową witając serdecznym uśmiechem swoich chłopców—wstają wyprężeni. Myślę, że muszą go kochać. Jakże razi w tej swobodnej, kulturalnej sali wysoka postać w brunatnym szynelu i sztywnej czapce na głowie. Kelner dyskretnie szepce coś do ucha. Obcy zdejmuje szybkim ruchem nakrycie głowy: "Izwinitie pażausta."

Jadę na dworzec. Ten obóz, oddzielony morzem błota od miasteczka, jest cudowną wyspą, myślę, wyspą nie tylko polskości, ale i wspaniałej zachodniej kultury.

Ładny jest w pojęciu jakie kryje w sobie staropolskie słowo "ład"—podstawa wszelkiego piękna. I porządny w pojęciu, jakie kryje w sobie drugie, piękne staropolskie słowo "rządny."

Bo i polska kultura przebija się w prostych grzecznościach, w uśmiechu, powitaniu, sposobie współżycia, informowaniu i organizowaniu. Jest jeszcze coś—to, co sprawia, że letni obóz, przeładowany ludźmi, niedostatecznie jeszcze odzianymi i karmionymi, pomieszczonymi w namiotach w okresie pluchy jesiennej i poczynających się mrozów—bije radością i wiarą. Ci bez butów i ci w fufajkach, w śmiesznych czapkach, ci obwiązani powrozami dla ciepła i ci najbiedniejsi, rwący się do roboty z łóżka szpitalnego—dlaczego wszyscy uśmiechają się tym głębokim uśmiechem duszy wyzwolonej, który mnie ogarnął niewysłowionym szczęściem i rozgrzał ściśnięte serce?

Unosi się nad tym obozem idea Polski Wolnej, do której pielgrzymuje znowu szlakiem porywanych z sejmu senatorów, szlakiem Beniowskich, Kościuszków, Wysockich, Mickiewiczów, Piłsudskich. . .

("Ochotniczka" nr. 1)

OCHOTNICZKA



U góry: Dymy "tiepłuszek" nad obozem

U dołu: Pierwsza zbiórka po otrzymaniu angielskich mundurów



Powstała nowa jednostka

Były upalne pierwsze dni wrześniowe, gdy do obozu letniego w N. zaczęły napływać pierwsze transporty. Słońce piekło, gorący wiatr południowy bez przeszkód hulał po stepach, niosąc tumany piasku i w tym żarze szły tłumy wynędzniałe, obdarte, przeważnie bose, dźwigając żebracze tobołki z całym majątkiem.

Ale mimo zmęczenia, mimo łachmanów oczy paliły się radosnym blaskiem, wracali przecie z więzień, z obozów pracy, z obozów jeńców znowu do szeregów armii polskiej. Skończyło się najgorsze—zaczynało się nowe życie.

To nowe życie nie było łatwe. Wszystkiego było brak, o wszystko trzeba było walczyć, zdobywać gdzie się dało. Pierwsze meldunki i rozkazy były pisane ołówkiem na świstkach papieru, gdzieś na parapecie okiennym. I rozkazy szły obiegiem przez wszystkie oddziały dywizji, bo nie można zdobyć kilku kawałków papieru, bo trzeba oszczędzać te skrawki, które przydźwignęło się w swych tobołkach, czy kieszeniach.

Co dzień, co noc przybywało tysiące ludzi, a tu brak sprzętu kwaterunkowego, zupełny brak środków transportowych, brak lekarstw i środków opatrunkowych, choć bardzo wielu wyniszczonych i chorych.

Ale pomimo tych trudności, mimo katastrofalnych braków praca organizacyjna posuwa się naprzód. W połowie września już zwarte oddziały defilują przed Dowódcą Polskich Sił Zbrojnych w Z.S.R.R. gen. Andersem i choć defilują po prostu boso przeważnie i w strzępach odzieży, przechodzą przed wodzem dziarsko i z fantazją i zyskują jego pochwałę.

Ale nadspodziewanie szybko nadciągają chłody i szarugi jesienne. Łachmany źle zabezpieczają przed zimnym powiewem wiatru i przed deszczem. Bose czy owinięte gałganami nogi kostnieją z zimna, a ci nieliczni szczęśliwi, którzy mają buty—mają je podarte.

Wielu ludzi koczuje jeszcze w letnich stancjach, bo brak namiotów, brak stałych pomieszczeń. Dachy, choć dziurawe, jako tako zabezpieczają przed deszczem, ale nie zabezpieczą przed zimnym wiatrem.

I trzeba było podziwiać hart ducha żołnierza polskiego, że w tych warunkach wytrwał bez szemrania, że nie osłabła karność że nadal rozbrzmiewał śmiech i piosenka żołnierska.

A potem zaczęło się stopniowo poprawiać, wszyscy uzyskali dach, czy płótno namiotu nad głową, wszyscy dostali buty i ciepłe ubrania, uzupełniono braki w płaszczach i zaczęła się normalna praca wyszkoleniowa.

Jednakże nigdy nie może być zupełnie dobrze. Po deszczach przyszły mrozy, przed którymi nie chroniły dostatecznie pojedyńcze namioty, ani nieprzystosowane do warunków zimowych domki i baraki, stałe trudności z wyżywieniem zaczęły się periodycznie potęgować. Wodociągu nie można było ze względu na brak narzędzi na czas zabezpieczyć przed mrozami.

Brak wody, brak mydła, niewystarczająca łaźnia, brak odpowiedniej ilości środków dezynfekcyjnych, niedostateczne wyżywienie i chłód w pomieszczeniach—wszystko składa się na fatalny obraz warunków w jakich trzeba żyć i pracować.

A tymczasem praca idzie szybko naprzód. Ludzie szkolą się z kijami zamiast karabinów. Są makiety karabinów maszynowych i działek ppanc. Pomysłowość w produkowaniu namiastek sprzętu wyszkoleniowego ogromna.

Idzie i praca kulturalno-oświatowa. Od połowy września wychodzi biuletyn informacyjny, dający wiadomości o położeniu na frontach i o najważniejszych wydarzeniach politycznych z uwzględnieniem spraw polskich.

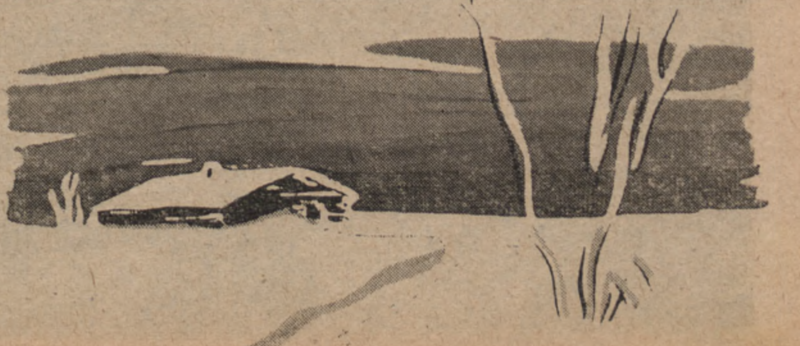
Przy codziennych ogniskach żołnierskich w nieprzymuszonej atmosferze, w krótkich pogadankach oddziaływuje się wychowawczo na żołnierza, omawiając najważniejsze aktualne sprawy, prowadzi się normalne pogadanki oświatowe według programu wyszkoleniowego. Żołnierz przez długi czas odcięty od źródeł informacji, spragniony żywego słowa, chłonie wszystko w siebie, chce wiedzieć wszystko o wszystkim.

W ciągu września i października kończy się okres organizacyjny sieci kulturalno-oświatowej. Od listopada zaczynają pracować świetlice oraz teatr polowy 6 D.P. Kryzys papierowy się kończy i zaczyna wychodzić gazeta ścienna dywizji "Do zwycięstwa" oraz gazety ścienne oddziałów dywizji.

Kiedy w połowie listopada przyjeżdża znowu do obozu gen. Anders już nic nie przypomina obrazu z przed dwóch miesięcy. To już nie wynędzniałe, odbarte szeregi, ale prawie jednolicie umundurowane, przechodzące twardym żołnierskim krokiem i bystro, śmiało patrzące w oczy dowódcy. Nie został zmarnowany ogromny wysiłek żołnierza ani kadry dowódczej. Powstała nowa, wielka jednostka odrodzonej armii polskiej, czekająca tylko na broń, aby wziąć udział w walce z śmiertelnym wrogiem—Niemcami.

PIOTR IWAŃSKI

rys. Zdzisław Borysowicz



Wspomnienia z Kampanii Norweskiej



IV Batalion w marszu do Brestu

Wspomnienia te poświęcam ś.p. kapitanowi Moreniowi z II batalionu i ś.p. kapralowi Pecowi z IV batalionu Brygady Podhalańskiej, którzy w wysokim stopniu przyczynili się do zwycięstwa pod Narvikiem i to zwycięstwo świadomie okupili życiem,

a także tym wszystkim żołnierzom polskim, którzy czynem wykazali miłość Ojczyzny, występując z bronią przeciw odwiecznemu wrogowi,

oraz tym wszystkim Polakom, którzy z wiarą w duszy złożyli na ołtarzu Sprawy to, co mieli najcenniejszego.

Są to szkice, w których jako uczestnik pięknego, jakkolwiek drobnego epizodu bojowego obecnie toczącej się wojny, zwanego kampanią norweską, zobrazowałem to, z czego my Polacy możemy być dumni i co jest rękojmią, że wytrwamy, a mianowicie: hart ducha naszego żołnierza, czy to przybyłego z Polski po Wrześniu, czy to emigranta z Francji, jego pęd do walki i bezkompromisowego załatwienia rachunków z wrogiem, oraz niezłomną wiarę w ostateczny triumf.

Nie mam pretensji do odtworzenia całokształtu kampanii w północnej Norwegii. Poza celem, który podałem żadnego innego te wspomnienia nie mają.

Jeszcze jedna uwaga: nie jestem literatem, jestem tylko żołnierzem i to liniowym. Wiadomo, że atmosfera linii nie jest atmosferą subtelnej, wykwintnej i wyrafinowanej estetyki. To też jako od żołnierza możecie wymagać ode mnie dużo, natomiast w stosunku do mnie, jako pisarza proszę o pobłażliwość.

A teraz ostatnia uwaga: Są to szkice nie powiązane niczym, a związane rzeczywistością szarego frontowego życia żołnierskiego. Ten kto był na wojnie powiąże je sobie łatwo. Kto nie był niech je wiąże ponurym łańcuchem, którego poszczególne ogniwa stanowią: wszy, woda chlupiąca w butach, brud, od którego ciało swędzi, częstokroć głód, śmiertelne znużenie, kalectwo, wreszcie śmierć i wspólna mogiła.

Nie mniej to właśnie: wojna, dola żołnierska i trud frontowy rodzi naszą żołnierską dumę.

Gdy zacznie się nasza polska ofensywa, przyjdźcie wy wszyscy, którym rzeczy te nie są znane, do nas, do zawszawionego brudu, gdzie sumienia są czyste, a nauczycie się co czynić, aby mieć prawo do dumy.

Wtedy zrozumiecie nas . . .

* * *

*W nr. 4, 5 i 9 "Polski Walczącej" z r. 1940 ogłosiliśmy tegoż autora cykl wspomnień p.t. "Bitwa pod Mławą" oraz w nr. 33, 34, 35 i 36 z r. 1941: "Wspomnienia z obrony Warszawy."



Ładowanie batalionu na statek "Mexique"

I.

Gdy statek oceaniczny "Mexique" z III i IV batalionem Brygady Podhalańskiej cicho i majestatecznie oddalał się od mola, francuska orkiestra portowa grała na brzegu hymny narodowe Polski, Anglii i Francji. Ze stojących obok pancerników: "Strasbourg," "Dunkerque" i niewykończonego jeszcze "Richelieu," dochodziły potężne okrzyki "Vive la Pologne."

Z okrętu w kierunku oddalającego się brzegu Francji płynęło entuzjastyczne pożegnanie kraju, który dla wielu z nas stał się drugą ojczyzną. "Vive la France" zlewało się z okrzykami na cześć Polski i mazurkiem Dąbrowskiego.

Nad okrętem krążyły białe mewy i swym przeciągłym, pełnym smutku krzykiem jakby żegnały polskie bataliony, odjeżdżające za morze po nową chwałę. Łagodne kwietniowe słońce zalewało promieniami lazurową zatokę, wesołe zielone brzegi i rozległe szare miasto Brest.

Eskadra wioząca francuską dywizję, w której skład wchodziła Polska Brygada, składała się z pięciu morskich olbrzymów. Poszczególne statki odchodziły z portu o różnym czasie, żegnane każdorazowo nowym wybuchem francuskiego entuzjazmu. Następnie zarzucały kotwice na redzie i lekko kołysząc się czekały na pozostałe.

Gdy zapadł zmrok, lekka mgła spowiła zatokę, a otaczające ją brzegi stały się fioletowe.

Wreszcie potężne łańcuchy poczęły z łoskotem wyciągać kotwice. Po chwili motory ruszyły. Pokład zaczął lekko wibrować, a brzegi zatoki jakby biec wstecz. Inne statki silnie dymiąc także cicho zaczęły iść.

Noc była jasna, księżycowa i spokojna. Mgła opadła. Miasto skąpane w bladych promieniach księżyca oddalało się co raz bardziej.

Eskadra kierowała się w wąską gardziel, dzielącą cichą zatokę od burzliwego oceanu. Po obu stronach okrętu bezszelestnie snuły się ciemne, milczące i zasępione skały Bretanii.

Z przodu i z tyłu za statkiem jak widma posuwały się sylwetki innych, zostawiając za sobą smugi niby gotującej się wody, która



Na pokładzie; w głębi statek "Chenonceau"

w świetle księżyca była podobna do żywego srebra. Całość w mroku nocy robiła wrażenie pochodu milczących i ponurych olbrzymów, płynących wśród skał spokojnie, pewnie, groźnie i w skupieniu.

Na czele szedł francuski kontrtorpedowiec.

Po godzinie tego niesamowitego a jakże pięknego pochodu w skalistym korytarzu, powiało oceanem. Urwiste brzegi i skały zaczęły maleć, oddalać się co raz bardziej i powoli zlewać się z mrokiem nocy. Wreszcie ostatnie sterczące z wody, a poszarpane przez wieki głazy stały się nieuchwytne dla wzroku. Francja znikła za horyzontem.

Z zachodu wiał silny i ostry wiatr. Olbrzymi statek zaczął ciężko i miarowo kołysać się na jasno szarej, czasami srebrzystej a pieniącej się złowrogo tafli oceanu. Wiązania zaczęły skrzypieć w takt kołysania. Naciągnięte liny na masztach zanuciły jakąś nieuchwytną a pełną tęsknoty pieśń morza.

Zaczęła się wyprawa norweska . . .

* * *

Wnętrze statku było biegunowym przeciwieństwem tego, co się działo na pustym, wilgotnym i błyszczącym w oświetleniu księżyca pokładzie. Wszystkie sale, kabiny i korytarze były zalane światłem. W powietrzu, które było ciężkie i gęste, stał gwar. Rubaszne żołnierskie zwroty, polskie i francuskie przekleństwa mieszały się w powietrzu z wybuchami wesołego a niejednokrotnie pijanego śmiechu. Prawie wszyscy pili, pili na umór, bez miary i zastanowienia się. Kurzyło się z czupryn rozczochranych. Wzrok niejednego był już błędny.

Przy stołach rżnięto w karty bez opamiętania i z zacietrzewieniem. Kupy metalowych i papierowych franków przechodziły z rąk do rąk. "Kibice" nieomal włazili jeden na drugiego, tworząc fantastyczne kłębowiska ciał piętrzących się ku górze. Powietrze stawało się co raz bardziej pełne wyziewów ciał, dymu tytoniowego, zapachu nowej skóry i wymiotowania.

Nastrój był wspaniały, beztroska biła z każdej twarzy. Ustały narzekania i niezadowolenia, znikł gdzieś "bolszewizm," o który przesadnie oskarżano niejednego żołnierza. We wnętrzu miarowo kołyszącego się olbrzyma kipiało życie wspaniałego oddziału i zarazem jednej dużej rodziny żołnierskiej. Wszyscy szczerze cieszyli się z wyjazdu; o łodziach podwodnych i pasach ratunkowych nikt nie myślał.

Gdy prawie wszystko co żyło urżnęło się i zgrało, twardy sen ogarnął olbrzymie kłębowisko ludzi. Powietrze w przepełnionych salach i kabinach stawało się jeszcze cięższe, bardziej mdłe, gorące i nieznośne.

Parutysięczna masa ludzi spała zdrowo, ufnie przytulając się do twardych, stalowych wiązań okrętu. W dusznych salach potężne chrapanie zlało się z głuchym i monotonnym stukiem maszyn okrętowych . . .

* * *

W miarę posuwania się na północ morze stawało się co raz spokojniejsze. Zachodni wylot kanału La Manche był jeszcze nieco wzburzony, lecz gdy zaczęliśmy mijać południowo-zachodni brzeg Anglii, tafla morza wyrównała się zupełnie, woda przybrała odcień zielonkawy, czasami szmaragdowy. W czasie przejazdu przez kanał nie napotkaliśmy nikogo, jedynie mewy i kormorany napastowały okręt, wyprzedzały go, krążyły nad nim i wciąż napełniały powietrze przeraźliwymi okrzykami.

Na drugi dzień podróży ukazał się brzeg Anglii. Nie był wtedy to brzeg tak dobrze znanej nam obecnie wyspy, gościnnej, bogatej, pełnej gwarnych i ludnych miast, z których niejedno stało się nam prawie miastem rodzinnym, wyspy zaludnionej przez beztroski, pogodny a zacięty naród, który stał się nam bliski i zrozumiały.

Była to ziemia nieznana, obca, zdaleka robiąca wrażenie bezludnej, pustynnej i surowej. Przez lornetkę można było dostrzec jedynie wysokie, szare, rude, a czasami czerwonawe brzegi, o które biły białe, pieniące się bałwany. Na trzeci dzień widzieliśmy brzegi Anglii i Irlandii jednocześnie. Morze stawało się bardziej jasne, ciche i pogodne.

Potem port Greenock i ujście rzeki Clyde ukazały na krótko wspaniały urok szmaragdowej wiosny szkockiej. Wzrok człowieka z lądu nie mógł się oderwać od tych łagodnych, pokrytych soczystą zielenią pagórków i porozrzucanych gdzie niegdzie ciemnozielonych plam iglastych lasów. Dużo olbrzymich statków, łopoczące flagi na tle blado niebieskiego nieba i duży ruch w porcie pozwalały nabrać nowej pewności, wiary w siebie i spokoju. Wiarę tę potęgowały stojące na odosobnieniu potężne, szare, zamarłe w skupieniu brytyjskie pancerniki.

Wszystko to przeszło jak krótki sen. Zielonkawe spokojne Morze Irlandzkie, białe i bronzowe żagle łodzi rybackich, wreszcie wysokie brzegi wysp Orknejskich minęły szybko i znów zaczął się bezbrzeżny przestwór wodny. Eskadra wciąż trzymała kurs na północny wschód.

Ocean stawał się co raz bardziej spokojny i bielszy, nawet lekki zielonawy odcień szybko zanikał. Tafla morza zupełnie gładka zaczęła przybierać odcień stali. Noce stawały się co raz jaśniejsze, co raz krótsze, wreszcie ostatnie cienie białej nocy znikły i nastąpił jeden długi, blady niekiedy tylko słabo uśmiechający się północnym słońcem Wielki Dzień. Eskadra początkowo składająca się z pięciu statków, powiększyła się w porcie Greenock o kilka innych, lecz te nowoprzybyłe po dwóch dniach skręciły na Bodo i Mo.

Nasze zaś nadal uparcie szły w tym samym co i poprzednio kierunku, prując już zupełnie mleczną, zlewającą się z takim samym białym niebem nieruchomą powierzchnię martwego bezkresu.

Ten milczący, potężny a łagodny ocean był wyrozumiały jak matka, która z dobrotliwym uśmiechem patrzy na wybryki ulubionego dziecka. Jedynie snujące się po mleczno białym horyzoncie, po obu stronych eskadry, oraz daleko na przedzie brytyjskie kontrtorpedowce przypominały, że w każdej chwili z tej spokojnej powierzchni otchłani może wynurzyć się wróg.

Nie zdarzyło się to jednak ani razu. W ciągu dwóch tygodni byliśmy zgubieni w tym bezkresie wody i nieba. Polskie cekaemy i francuskie działa opl. także napróżno wyczekiwały na wroga z powietrza. Zbyt wielki był ten bezkres, nawet mewy przestały nas prześladować.

Dnie stawały się co raz chłodniejsze, słońce nieco czerwonawe, nieco przygaszone, podnosiło się co raz niżej i co raz skąpiej darzyło ciepłem swych promieni, świecąc blado i smutnie, lecz zato prawie bez przerwy. Jedynie o północy czerwonawa tarcza słoneczna na krótko pogrążała się w morzu, aby po kilkunastu minutach wynurzyć się ociężale znowu.

Wreszcie któregoś dnia, gdy od strony północnej zaczął się odczuwać zimny powiew Oceanu Lodowatego,—z prawej strony okrętu, z za mlecznego horyzontu, wynurzyły się zabarwione na różowo grzebienie gór. Jednostajność życia okrętowego skończyła się . . .

Brać żołnierska wysypała na pokład. Masa ludzi w cichym skupieniu i niemym zachwycie patrzyła na te szczyty. Dziwne uczucie kiełkowało w duszy. Oto są góry, o które będziemy się krwawić. Oto są góry, przez które trzeba będzie przejść, aby trafić do równin Mazowsza. Oto są góry, których echo będzie roznosiło polską komendę. Góry, które na wieki schowają w swym kamiennym wnętrzu niejednego z nas.

Góry zaś rosły i potężniały, zza horyzontu wyłaniały się co raz nowe szczyty, a następnie nowe łańcuchy. Szczyty i łańcuchy rosły, stawały się co raz bardziej wspaniałe, groźne i dumne. Obojętne na wszystko góry, zapatrzone jakby tylko w siebie, mieniły się stalowym, fioletowym i oślepiająco białym kolorem, oraz wszystkimi odcieniami między srebrem a ciemnym fioletem. Za pierwszymi łańcuchami wyrastały nowe grzbiety, nowe łańcuchy, jeszcze surowsze, bardziej obojętne i dumne.

Tak płynęliśmy cały dzień jakby defilując przed tym majestatem. Pod wieczór tego dnia można było rozpoznać przełęcze, doliny, długie białe granie, urwiste skały, seledynowe lodowce podbiegające nieraz do morza i zanurzające w jego mlecznej bieli zielonawe czoła. Cała ta orgia fantastycznych form górskich cicho snuła się wstecz i pokazując nam swe wnętrze jakgdyby ostrzegała przed zbytnim zuchwalstwem.

* * *

Fiord, w który skierowała się eskadra był wąski, długi i wyniosły w swej surowości. Po zboczach gór pokrytych śniegiem snuła się mgła. Ze śniegu wystawały rzadkie lasy skarłowaciałej brzozy. Gdzie niegdzie porozrzucane domki Norwegów, czerwone, żółte, białe, niebieskie, zielone i brunatne, zbudowane wyłącznie z drzewa, starały się swymi kolorami wnieść jakieś urozmaicenie w ten zimowy, biały od śniegu krajobraz. Wstęgi dymu uchodzące z kominów, wznosiły się pionowo w ciche powietrze i długo majaczyły ciemną sinością na tle ośnieżonych stoków górskich. Po rozkosznej, słonecznej wiośnie Francji, gdzie przed dwoma tygodniami wszystko kwitło, po pięknej i łagodnej zieleni Szkocji—dziwnie było patrzeć na tę nową, mroźną, śnieżną zimę.

Eskadra posuwała się fiordem w szyku torowym. Okręty płynęły pewnie, bowiem czołowy był prowadzony przez pilota Norwega. Jego kuter, na którego maszcie powiewała flaga św. Olafa, trzymał się z boku. Obsługa kutra, wysocy, szczupli, o zupełnie płowych włosach Norwegowie przyjaźnie wymachiwali rękami i chustkami.

Wreszcie fiord nieco się rozszerzył. Na jasno seledynowej wodzie ukazała się górzysta wyspa, pokryta śniegiem i karłowatym lasem. U podnóży wzniesień wyrosło niebawem przed oczyma spore, różnobarwne, o kilku strzelistych wieżach kościelnych, miasto Tromsö.

Panorama górska nad fiordem





Domek norweski wśród śniegu

Nareszcie po tym nieskończonym mlecznym przestworzu, wzrok mógł spocząć na osadzie ludzkiej. Po dziesięciu dniach miarowego kołysania się, okręt z łoskotem zarzucił kotwicę, maszyny jednak długo wyciągały z wnętrza okrętu co raz to nowe potężne ogniwa i zanurzały je w zieloną wodę fiordu. Fiord bowiem był tak głęboki, jak był piękny i jak wysokie były otaczające go góry.

Niebawem przyszła wieść, że w Tromsö stoi z dworem J.K.M. król Norwegii, Haakon. Jak gdyby na powitanie króla, okręty okryły się flagami sygnałowymi i przynależności państwowej. Między trójkolorowymi flagami, flagami z krzyżem św. Jerzego i św. Olafa ukazała się jedna biało-czerwona z polskim orłem. Wywiesił ją motorowiec barwy ciemnej stali noszący nazwę "Batory."

Nie wiem czemu w tym fiordzie staliśmy bardzo krótko, bowiem po kilku godzinach, nowy łoskot łańcuchów, wyciągających kotwicę zapowiedział, że ruszymy wnet dalej.

Istotnie statki jeden za drugim zaczęły kierować się na północny zachód. Tym razem płynęliśmy jakimś zawiłym labiryntem fiordów, fantastycznie wąskich, tak wąskich, że z powoli posuwającego się statku można było czasami długim drągiem dotknąć zmurszałych i pokrytych ciemno-zielonym mchem, pionowych skał.

Okolica była dzika, ponura i uboga. Z pojedyńczych, a rzadko położonych domków wychodzili Norwegowie. Odległość była tak mała, że można było widzieć ich jasno niebieskie oczy. Żaden Norweg jednak pierwszy nie zrobił przyjaznego gestu, dopiero na widok uśmiechających się twarzy naszych "Maćków" i ich wrzasków, Norwegowie uśmiechali się także i machali czapkami. Jakkolwiek niewątpliwie były to uśmiechy przyjaźni, były to jednak uśmiechy północy,—blade, poważne, smutne. Fiord, którym płynęliśmy, położony był przecież za kołem biegunowym.



W szyi innego fiordu

Raz szczególnie ten uśmiech północy, uśmiech niby pełen radości i wdzięku, zaświadczył, że jest to kraina smutku, kraina surowej przyrody, bladego lata i polarnej nocy. Gdy okręt przepływał obok skały popękanej i pokrytej plamami lśniącego mchu, na jej tarasie stała nieruchomo i cicho grupka mężczyzn i kobiet. Niebieskie oczy Norwegów były szeroko rozwarte, słaby wiatr poruszał złoto-płowe włosy wysmukłych dziewczyn.

Wtem kapral z IV batalionu, czarny, kudłaty, z twarzą spieczoną afrykańskim słońcem z czasów służby w Legii Cudzoziemskiej, bohater Guadalajary, dziwkarz i wspaniały żołnierz zobaczywszy stojącą w grupie dziewczynę, ubraną w granatowe narciarskie spodnie i obcisły czerwony sweter, raptem wykonał klasyczną "postawę grenadierską stojąc" i z wrzaskiem: "Łap Maryśko" rzucił jej pomarańcz. Jakkolwiek "granat" byłby upadł jeden, dwa kroki w prawo i jakkolwiek nie była wcale przygotowana do przyjęcia tego rodzaju prezentu i tak zaofiarowanego, dziewczyna wykonała zgrabny skok w bok, jedną ręką pochwyciła pomarańcz w locie.

Burza oklasków zerwała się z okrętu. Góry, długo roznosiły te owacje po dolinach, graniach, przełęczach. Dziewczyna zaś przycisnęła pomarańczę do ust i trzymając oburącz stała spokojnie, prosto, nieomal wyniośle, a gdy skolei chowała ją do kieszeni spodni, na twarzy jej był serdeczny, lecz niemniej blady i smutny uśmiech.

Gdy burza oklasków ucichła, dziewczyna dźwięcznie i śmiało wykrzyknęła słowo "Tak" /po norwesku "dziękuję"/. Wtedy z okrętu zaczęło się istne bombardowanie grupki paczkami papierosów i tytoniu, pomarańczami, jabłkami i tabliczkami czekolady. Norwegowie łapali to wszystko sprawnie, zgrabnie, lecz spokojnie, bez kłótni, bez radości, bez pośpiechu. Jedynie okrzyki: "Tak, tak" dochodziły do nas.

W głębi tarasu, obok jakimś cudem rosnących brzózek stało kilka czerwonych domków. Z nich na odgłos krzyków z okrętu wyszło



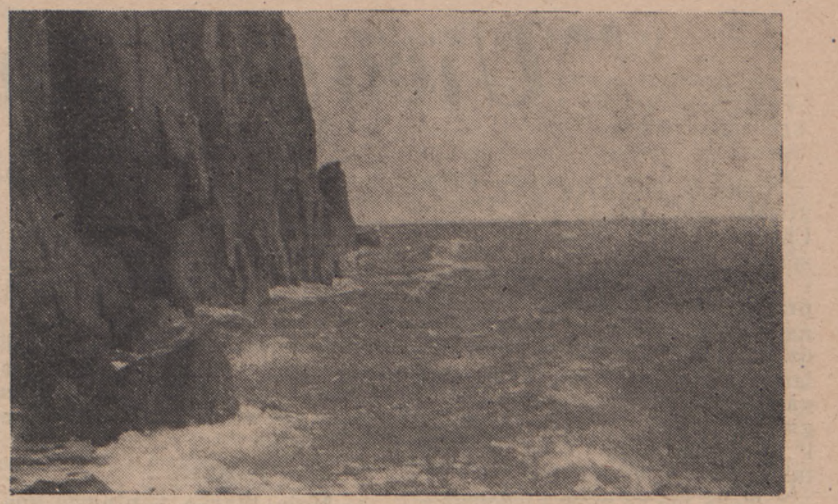
Wyładowywanie batalionu we fiordzie Salangen

kilkoro innych mężczyzn, kobiet, chłopców i dziewcząt, jednak nikt nie podbiegł do stojących na skraju tarasu ludzi, aby łapać podarunki. Grupka ta zatrzymała się obok domów i machając czapkami uśmiechała się tak samo.

Wszystko to trwało zaledwie kilka minut, lecz jakże wymowne były te krótkie chwile. Jeszcze minuta i obraz wysmukłej, jasnowłosej dziewczyny, grupki Norwegów i barwnych domków znikł za występem innej, stromo opadającej w wodę kamiennej skały. Wąski co raz bardziej niepokojący dzikim urokiem, co raz bardziej fantastyczny korytarz, wrzynał się w pamięć z niesłychaną dokładnością. W tym dniu każdy czuł się wyczerpany tym tylko, co widział.

W jakim celu płynęliśmy znów na północ i w jakim celu krążyliśmy po oceanie jeszcze dwie doby nie wiem do dnia dzisiejszego. Domyślam się jednak, że były to powody natury operacyjnej. Dość, że gdy pewnego dnia wszedłem na mostek kapitański i zapytałem kapitana okrętu, nie mniej czarnego od wiatru i słońca od kaprala, powiedział, że przepłynęliśmy 72 równoleżnik. Gdy z kolei zapytałem, czy będziemy długo jeszcze wałęsali się po morzu, kapitan rozłożył ręce i powiedział:

"Diabli wiedzą! Wie Pan, długo służę na morzu, lecz zawsze wiedziałem dokąd jadę, teraz zaś jestem głupi. Dowódca eskadry otrzymuje przez radio zaszyfrowany kurs, a reszta statków płynie za nim jak stado gęsi."



Wylot fiordu Tromsö

Istotnie jakgdyby na potwierdzenie jego słów, w parę godzin później czołowy okręt zakręcił pod kątem 180° i cała eskadra, która w tym czasie płynęła na południe, znów skręciła na północ.

I tym razem ocean był zdumiewająco spokojny, płynęliśmy jednak jakby w gęstym mleku. Tafla oceanu była podobna do białego polerowanego szkła. Niebo także było prawie białe, nie zabarwiał go nawet lekki seledynowo niebieskawy odcień.

Na okręcie zaczęły panować piekielne nudy. Zawartość baru dawno była wypita. Właściciel, Francuz, a więc człowiek interesu i przewidujący kupiec, ze złości zaciskał pięści i pluł sobie w brodę, że nie zabrał dziesięciokrotnie większej ilości alkoholu.

—"Ktoby przypuszczał, że ci Polacy mogą tyle wypić, przecież to co zabrałem ze sobą z Brestu, to było tyle, ile w dobrych czasach pokojowych zabierałem na podróż z Marsylii do Buenos-Aires z tygodniowym pobytem w Ameryce i jeszcze przywoziłem sporo butelek nieodkorkowanych. Kto by mógł przypuszczać że tak będzie . . ."

Taki mniej więcej lament słyszałem z ust poczciwego Gaskończyka po kilka razy dziennie. Jedynie gra w karty nie ustawała. Bezwartościowe na okręcie franki w olbrzymiej ilości przechodziły z jednej kieszeni do drugiej. Zaczęły już krążyć dowcipy o "Brygadzie Widmo" o "Bezrobotnej Brygadzie będącej w poszukiwaniu pracy," i t.d. Wreszcie jednak po raz ostatni skręciliśmy na południe i tym razem, jak się okazało później, wzięliśmy kurs na Lofoty.

Nie będę opisywał tego, co się działo od chwili wylądowania do dnia, kiedy rozpoczęła się właściwa bitwa o Narvik. Zostało to opisane bardzo szeroko. Okres ten można byłoby nazwać okresem nawiązywania styczności z nieprzyjacielem, intensywnego rozpoznawania, wypadów i powolnego, lecz stałego wypierania Niemców na te stanowiska obronne, na których zaskoczyło ich ostatnie i rozstrzygające natarcie.

Wiosna w tym okresie poczyniła znaczne postępy. Południowe stoki gór zabarwiły się jasną, świeżą zielenią. Na północnych zboczach jednak leżał jeszcze śnieg, lecz płaty jego topniały nieomal na oczach i zasilały górskie strumienie, które z głośnym szmerem biegły ku fiordom. Jeziora i stawy górskie stały nadal pod zielowaną choć już popękaną tarczą lodu.

W południe przez dwie-trzy godziny było bardzo ciepło, czasami upalnie lecz wieczory, noce a zwłaszcza poranki były bardzo mroźne. Żołnierze na placówkach marzli i tulili się jeden do drugiego. Na wyższych partiach gór i szczytach niepodzielnie panowała mroźna zima i straszliwe zawieje śnieżne. Tam służba była wyjątkowo ciężka. Patrolujący żołnierze nieraz przychodzili stamtąd skostniali, w zlodowaciałym ubraniu i z odmrożonymi nogami. Nigdy jednak nie było jakichkolwiek skarg, narzekań lub niechęci. Żołnierz polski znosił to wszystko pogodnie i z największym stoicyzmem. Gdy zaś przychodziła wiadomość, że w górach są spadochroniarze niemieccy wszyscy zgłaszali się ochotniczo na patrol.

Ludność norweska, która z naszym przybyciem powoli spływała do swych siedzib, początkowo odnosiła się do nas z rezerwą lecz szybko przyzwyczaiła się, a następnie polubiła.

Tak oto zbliżała się nieuchronnie rozprawa między nami a naszym śmiertelnym wrogiem.

ARNOLD JASKOWSKI

fotografie autora

Tamta norweska wiosna przypominała polską zimę



"Uwaga! uwaga! przeszedł..."

Niekiedy pośrodku nocy wślizgiwała się do pokoju Helena. Choć noce były ciche, nie mogła spać. W dzień, myjąc talerze i garnki przysiadała na krześle, przechylała głowę i zasypiała nagłym, chrapliwym snem. Siedziała tak z rozstawionymi kolanami, pyrchając opuchłymi wargami, chybocząc zbyt wielką głową. Potem zrywała się nagle i wycierała długo ścierką jakiś talerz dawno już wytarty.

—Taka już ze mnie niedołęga—wzdychała.

Była krępa, niska i miała ruchy niezkładne. Jej duże ręce nie umiały sobie dać rady z oporem rzeczy, szczotki, trzepaczki, miski.

Filiżanki wylatywały jej z rąk. Stała nad skorupkami zapatrzona smętnie i zdumiewała się — i widział to kto? Żebym choć uderzyła o coś. Ale nie, tak poprostu, wyleciała . ..

W słoneczne letnie dnie, kiedy z ulicy dochodziły odgłosy wesołych rozmów i śmiechów zamykała okna ociężałym ruchem i patrzała przez szyby. Niekiedy przystawała w robocie, jakby nie chciała przeszkadzać myślom, które ją wypełniały. Stojąc bez ruchu i zapatrzona w siebie powtarzała niekiedy: to już niedługo . . .W nocy snuła się po mieszkaniu. Nachylona nad Joanną uśmiechnęła się do jej otwartych oczu.

—Bo Warka spalona . . . . Uśmiechała się ciągle mówiąc, że powiedziały jej o tym kobiety, przywożące warzywa.—To jest moje miasteczko, matka tam mieszka . . . co się też stało z matką?

W półmroku widać było, jak podparła sobie głowę ręką i zapatrzyła się w otwarte okno. O matce już więcej nie mówiła, tylko wspominała jabłonie w ogrodzie, opłotki przy drodze, ścieżkę, co wiodła między polami, a potem przez wikliny do rzeki; szła tą wikliną, aż dotarła do wierzb potem nagle zawróciła aż znalazła się znowu koło swojego domu:

—Bośmy w zeszłym roku posadzili wiśnie przy domu, matka się wykosztowała, ale nie wszystkie się przyjęły, tylko te co na piaskach . . . Spalone? —zapytała nagle. Było w jej głosie niedowierzanie. Jakby nie umiała przeskoczyć od żywego obrazu, pełnego nadrzecznych zapachów, do spalenizny. E—może ludzie tylko tak mówią . . .

Joanna słuchała jej słów, jak jakiejś skutecznej pociechy. Warka była spalona, doniosły o tym gazety, ale można było nie wyobrażać sobie tego, jak nie wyobrażała sobie tego Helena. Można było w ogóle trwać w ciągłości życia, opartej na oczywistości wspomnień. Byle Helena mówiła dalej.

—Mów jeszcze . . o Warce . .

—A pani była w Warce?

—Nie.

—O, to pojedziemy tam kiedy na niedzielę. Jak tam ładnie.—Helena rozhuśtała głowę i dłonie. —W niedzielę wieczór to się dziewczyny pod płotkami ustawiają, a chłopaki przechodzą drogą. Nieraz uszczypną, jak która ładna. A potem to się razem śpiewa. A nieraz to się idzie nad rzekę, albo przed kościół, na spacer.

—No i co dalej? Czemuś ty z tej Warki wyjechała?

—No bo nas sześcioro było.

—To i co?

—Matka nie mogła dać rady. Tośmy trzy siostry poszły do miasta.

Męczące są ciche księżycowe noce bez nalotów. Poszły trzy siostry do miasta. Jedna szła i myślała: może to mnie królewicz weźmie za żonę? Szła prędko aż zaszła. Dokąd poszła twoja siostra?

—Do fabryki. U Wedla pracuje. Czekoladę pakuje.

Jest tak jasno, że mogliby strzelać jak we dnie. Druga szła polami i śpiewała: która więcej malin zbierze, tę za żonę pan wybierze, ta będzie panią.

—A druga siostra co robi?

—Mania jest u krawcowej. Ale bez życia . . .

Trzecia przysiadła zmęczona przy drodze.

—A ja na służbę poszłam. Najlepiej, dla mnie.

Helena zamilkła. Noc zdawała się tylko czasem czekania. W nocy zamykała się granica między człowiekiem a człowiekiem, jak obręcz.

— Mów jeszcze. . .

— Może Warka naprawdę spalona?—Wraz z chłodnym przedrannym powiewem zdawała się w jej duszy zagnieżdżać wątpliwość. Nagle zaczęła mówić o tym, że jutro upierze bieliznę, będzie ją suszyć nie na strychu, bo strych niepewny. W ogrodzie powiesi. Gdyby było bardzo źle, to nim pójdzie do schronu skoczy i zabierze ją.

—Żeby tak wiedzieć, które godziny najlepsze dla bielizny? Przecie by jej szkoda było.—Zamyśliła się głęboko.—Może to i dobrze, to wszystko?

— Przecież człowiek umiera zawsze sam—pomyślała nagle Joanna. Objęła Helenę i przytuliła się do niej.

—Trzeba czekać rana—powiedziała Helena.

Była to jakby zapowiedź życia. Rano będą naloty, pełno będzie do roboty i w jakąś jedną pękającą minutę trzeba będzie jeszcze wsadzić bieliznę.

—Zaraz rano kupię mydło i sodę.

Kiedy zaczęło szarzeć Helena znowu wróciła do Warki. Mówiła o niej pogardliwie:

— W jesieni błoto po kostki. A w lecie kurz. Ja nigdy nie chciałam po miasteczku na spacer chodzić. Poco? Co tam widać?—Podeszła do okna. Już się różowił wschód.—Warszawa taka duża. I tyle sklepów. I kina są. I teraz ta wojna. I tyle ludzi widać. I choć są naloty można z kimś do parku pójść.—Nagle wyciągnęła przed siebie splecione dłonie:—ja zawsze chciałam. . . ja bym chciała. . . —Opadła w sobie —E, wszystko jedno.

O 6-tej rano zaczęło żyć radio. Naprzód zaszumiało , jakby się budziło ze snu. Potem była modlitwa: Kiedy ranne wstają zorze. . . znaczyło to teraz, że już wstali niemieccy lotnicy. Joanna czekała na głos speakera. Jego słowa zdawały się mocniejsze i ważniejsze od słów człowieka, stojącego blisko. Przychodziły z daleka, z nieograniczonej przestrzeni i przebijały obręcz samotności.

Helena mawiała: — "nasz" speaker—i dodawała z przekonaniem:—to jest dobry człowiek. Kiedy mówił kto inny robiło się chłodniej i mniej bezpiecznie. Wtedy Helena pocieszała się:—wypoczywa sobie. Niech sobie pośpi, bidak.—Nachylała się nad radiem, jak nad łóżkiem kogoś najbliższego. Teraz płynęły z radia melodie skoczne, ludowe, miały dźwięk zgrzytliwy i tempo zdyszane, coś chciały przekrzyczeć i przeskoczyć. Melodia urwała się nagle w połowie zdania. Głos "naszego speakera" poważny, pełen dobrotliwej troski przemówił:

UWAGA — UWAGA: PRZESZEDŁ. B-R 12-20.

—Już pracują, nasze anioły, nasze cherubiny — szepnęła Helena.

Tajemnicze słowa powtarzały się zwykle w radiu przed każdym nalotem. Splotły się ze wszystkimi melodiami, zahaczyły o wszystkie tony. Joanna czuła, że już nigdy więcej nie będzie mogła słuchać tych wesołych pieśni bez utajonego strachu pauzy, która wciśnie się nagle i tego powolnego: p r z e s z e d ł. Był to zapewne znak dla polskich lotników, czuwających nad miastem i określający drogę niemieckich samolotów. Zdawało się, że pola niebieskie pocięte są miedzami, w granicznych obłokach tkwią tabliczki z cyframi i przy nich straż trzymają prawi właściciele, anioły i cherubiny. Ich skrzydła są z metalu, oczy ich są szklane, ciała odziane w kombinezy, na głowie mają hełmy ze skóry. Z ziemią porozumiewają się przez radio, a także z wyższymi regionami nieba. Głos Boga, który ongiś przemawiał zza gorejącego krzaka, teraz mówi ze skrzynki radiowej i zapowiada rzeczy, które nadejdą:

TU DOWÓDZTWO OBRONY PRZECIWLOTNICZEJ. OGŁASZAM ALARM LOTNICZY NA MIASTO WARSZAWĘ. NA MIASTO WARSZAWĘ.

Wczoraj wraz z rannym nalotem zabrzęczał dzwonek u drzwi. Helena szła ku drzwiom ociężale i otworzywszy je stanęła jak skamieniała:

— Mój cherubin — szepnęła. Juliusz był w niebieskim mundurze lotniczym, zdawał się jeszcze otulony mgłą poranku.

—Dzień dobry panno Heleno.—Zadrgała i nagle rzuciła mu się na szyję. Oderwała się zawstydzona.

Juliusz wyjaśnił, że przyjechał do miasta służbowo, ma pół godziny czasu, jest brudny i głodny.

—Jak się masz—zapytał Joanny, ale nie czekał odpowiedzi, zdejmował z ramion torbę i opróżniał kieszenie munduru. Helena wyciągała ręce jakby mu chciała pomóc, potem składała je jak do modlitwy. Joannie biło serce, chwytała wzrok Juliusza, patrzała w jego błyszczące, podkrążone oczy—zdawało jej się, że jest coś ponadludzkiego w tej twarzy przybladłej i napiętej. Nagle przebłysło jej:

—Przecież to tylko Juliusz. Kiedyś, już dawno, był wtedy jeszcze bardzo młody, zaledwie wstąpił na politechnikę, siedząc obok niej na kanapie położył rękę na jej dłoni i powiedział ni stąd ni zowąd:—czy wiesz, że ja ciebie kocham? Śmiała się jak z dziecka. Potem się zirytowała. Taki ptasi mózg. Po prostu idiota. Miał gładką chłopięcą twarz, jasne włosy z przedziałkiem.

—Juliuszu . . . powiedz . . . latasz nad Warszawą?

—Latam.

—Drogi . . . powiedz . . .

—Co ci mam powiedzieć? Jesteśmy przeklęcie słabi.

—Ale ty . . . biłeś się?

—No chyba. Ale co z tego.

—Ty mój bohater . . . cherubin . . .

Wesołe ogniki zamigotały mu w oczach. Roześmiał się głośno. Znała go niemal od dziecka. Był powinowatym matki i matka lubiła go bardzo. Ale mówiła o nim: ot, taki sobie. I biadała ze zwykłą sobie emfazą: dziwna młodzież, bez żadnej idei, bez żadnego umiłowania . . . Strasznie lubił kawały. W kawałach miał fantazję, robił je na trzeźwo i po pijanemu z miną poważną, z przezornym sprytem, uważnie, by nie zepuć efektu. To była jego prawdziwa pasja. Jak się udało śmiał się do rozpuku. Tym samym śmiechem, co teraz.

—Poszalały baby. W tramwaju też mi się taka jedna o mało nie rzuciła na szyję. Tak się, wiesz, ta dziubdzia do mnie przysiuptała . . . —twarz mu się nagle zaokrągliła, usta zmiękły i z oczów zrobiły się oczka. Ale nie dokończył zdania i nagle stwardniał znowu:—Idiotki. Przecież ci mówię, że jesteśmy słabi.—Chodził nerwowo po pokoju.—Dwadzieścia na jednego . . . rzucił przez zęby. Poszedł do łazienki i zatrzasnął za sobą drzwi.

Helena biegała po mieszkaniu i zastawiała stół wszystkim, co mogła znaleść w domu. Jej ruchy były nagle zgrabne i składne. Juliusz wyszedł z łazienki w skarpetkach, trzymając buciki w ręku. Rzuciła się ku nim błagając wzrokiem, by je mogła oczyścić.

—Niech no panna Helena da spokój—powiedział poważnie. Wyjął z torby ścierkę, pastę do butów i rozmazywał ją starannie na załamaniach skóry. Czynił to z lubością, nawet koniec języka wysunął zza warg.

Helena stała obok niego, kiedy jadł śniadanie. Zadawała mu szczegółowe pytania: co to znaczy, że nasze pościgowce są mniej szybkie od niemieckich bombowców? Jak jeden samolot może napadać drugi i sam się nie rozbić? Jak wygląda bitwa powietrzna? Wyjął papier i ołówek i między jednym kęsem a drugim rysował jej plan bitwy precyzyjnymi, inżynierskimi liniami. Był znowu cherubinem. Helena patrzała w niego i poruszała bezgłośnie ustami według jego słów. Zatopili się w rzeczowych rozważaniach.

—A samoloty się myje?—zapytała nagle Helena.

—-Naturalnie.

—Ścierką i mydłem?

—Można i mydłem.

—Ale to się robi na lotniskach . . .

—Pewno. To i co?

—No, to nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

—Przecież lotniska są ostrzeliwane.

—Aha . . . —potakiwała. Nagle spojrzała mu w oczy:—ale pan to się nigdy nie boi.

—Nieraz to się bardzo boję.

—Naprawdę?—Zastanowiła się. —Nic nie szkodzi. Może być i tak.

Nagle Juliusz roześmiał się znowu i aż potarł dłonie z radości. Joanna przyniosła mu słoiczek miodu, przypomniała sobie, że bardzo lubi. Zapakował do torby i jeszcze wziął łyżeczkę. Tak samo pakował kiedyś jakieś tajemne liściki i fotografie, kiedy z wakacyj wyjeżdżał od nich do Warszawy.

Już w drzwiach Helena zatrzymała go nagłym ruchem ręki. Pocierała dłonią twarz i nie mogła wykrztusić słowa. Aż się zniecierpliwił.

—Co, panno Heleno?

—Zwyciężymy? — zapytała cicho.

—. . . musimy się bardzo napracować . . .

—Ale . . . ale zwyciężymy?

—Tak.

Joanna wspominając wczorajszą wizytę Juliusza myślała: Może cherubin wylizuje teraz łyżeczkę? Obracał ją zawsze w ustach dnem do góry. Spojrzała w niebo. Samoloty chowały się za białe obłoki.

Helena myślała widocznie również o Juliuszu. Zapatrzona w górę szeptała:—żeby mu się tylko nic nie stało. Potem siadła zamyślona przed radiem.

—TU DOWÓDZTWO OBRONY PRZECIWLOTNICZEJ. PRZYPOMINAM, ŻE ALARM LOTNICZY NA MIASTO WARSZAWĘ TRWA.

—Trzeba się zabrać do roboty—westchnęła Helena. Wstała, wybrała się w drogę do kuchni, ale przystanęła w połowie.—Chyba, że Warka spalona—uśmiechnęła się do Joanny.—Taka dziura. Same drewniane domy. I wychodki takie śmierdzące.—Uśmiech ześlizgnął się z jej twarzy, stała mocując się z myślami. Potem znalazła wyjście:—to ja teraz zrobię śniadanie, a potem się do prania zabiorę.—Powlokła się do kuchni.

Niekiedy język szyfrowy, przesyłany radiową drogą czuwającym lotnikom przybierał formy jakby rodzinne i tkliwe. Speaker wołał w przestworza:—Wujaszek prosi Mariana i Zbigniewa z rodziną, by powrócili do domu.—Czekając na Mariana wujaszek nastawiał gramofon. Widocznie chciał muzyką przywitać gości, którzy wkrótce przybędą. Lecz nie przychodzili. Zawieruszyli się na niebieskich łąkach, napotkali gromady rozochoconych obłoków i rozpoczęli z nimi swawolną zabawę. Speaker raz jeszcze ponawiał prośbę. Głos brzmiał dobrotliwie i ufnie.—On wierzy—pomyślała Joanna. Juliusz powiedział wczoraj, że każdy z nich ma dwadzieścia samolotów do strącenia.

Joanna ubierała się niby szybko, by pójść do biura. Lecz ruchy były powolne i ociężałe. W nocy zdawało się, że wystarczy ranny alarm, by wszystko stało się jasne i niedwuznaczne, szybkie i precyzyjne. Tymczasem czekanie trwało dalej i dalej trwała samotność.—Dlaczego nie padają jeszcze bomby?—zaniepokoiła się Joanna. Teraz wydawało się, że i ta praca w biurze, wymarzona praca "dla ojczyzny" nie jest właściwa. Joanna czuła, że wisi nad nią jakieś niezdecydowanie, że wszystko co robi, to nie to, co trzeba, że nie potrafi znaleść swej drogi. Nagle poczuła złość do Juliusza. Przecież koniec końcem wcale nie przestał być idiotą. Dlaczego nie padają jeszcze bomby? I Helena nie dawała śniadania.—Heleno!

Weszła do pokoju ubrana w swój najpiękniejszy niedzielny strój, w granatowy kostium, zbyt obcisły, uwydatniający zbyt szerokie biodra. Na głowie miała kokieteryjny beret, na rękach jasne, niciane rękawiczki. Stała przez chwilę ze spuszczoną głową, jakby pełna poczucia winy.

—Ja odchodzę . . . ja muszę iść . . .

—Dokąd?

—Ja chcę . . . ja idę . . . —mocowała się ze słowami, jak ze szczotką, trzepaczką. Poderwała się:—Ale dzisiaj jeszcze wrócę, bieliznę upiorę. Takiej brudnej przecież nie zostawię.

—Dokąd ty się wybierasz, dziewczyno?

Helena zirytowała się nagle:

—Cóż to, poto do miasta przyjechałam, żeby talerze myć? Podłogi szorować? To poto wojna jest? To inni będą samoloty myć, a ja tę paniną podłogę tam i z powrotem? Ja na Marszałkowską do wojennego biura idę.

Radio nadawało mazurki i polki, ludowe skoczne melodie, jedną za drugą, bez przerwy, w zdyszanym, nerwowym pośpiechu. Nagle urwało się muzyczne zdanie, jak zdławione. I zabrzmiał głos speakera:

—UWAGA! UWAGA! PRZESZEDŁ. B.H. 12-4.

Potem speaker przemawiał. Mówił do ludzi, którzy czekali całą noc. Mówił głosem jasnym i mocnym. Mówił, że zwyciężymy. Słowa przychodziły z dalekiej, nieograniczonej przestrzeni, od kogoś co wie. Helena słuchała i potakiwała. Potem powiedziała:

—Poco to tyle gadać? Przecież pan Juliusz powiedział, że zwyciężymy.—Wygładziła rękawiczki na rękach i ułożyła torebkę frontem do świata.

—Tylko, że nie wypada tak po prostu czekać.

Szła szybko ku drzwiom. W drodze wyliczała jeszcze wszystkie roboty, z którymi musi zdążyć przed zwycięstwem.

STEFANIA ZAHORSKA

Fragment niedrukowanej powieści: "Polska jesień."

WIERSZE

SEN

Byłam dziś we śnie sercem mojem całem
na czarnowiejskiej szosie,
skąd już blisko Kraków . . .
Kwitły tam, w cieniu ożynowych krzaków,
powoje, czysto-jedwabne i białe,
niezwykłej trochę wielkości,
jak spadochrony wieszczek, osiadłe na rosie.

Sen wielomówny!—Tęsknota bez wyjścia
w podświadomości
o zbawczym spadochronie tajemnie rozmyśla . . .

ZAZDROŚĆ

Nie zazdroszczę tej młodej dziewusze,
biegnącej z pięknym chłopcem co się o nią stara,
najwidoczniej żyć nie mogąc bez niej.

Ale zazdrość rozdziera mi duszę
jak widzę córkę z matką, kochaneczką starą,
gdy—niewspółczesne—zwolna przechodzą przez
jezdnię . . .

MARIA PAWLIKOWSKA

W "polskim" St. Andrews

Otwarcie Studium Prawno-Administracyjnego

Mury starego uniwersytetu w St. Andrews odżyły nie tylko z powodu wiosny i nie tylko z powodu wspaniałych refleksów promieni słonecznych, odbitych od żywym srebrem błyszczących fal morskich. Najstarsza wyższa uczelnia w Szkocji przeżywała jeszcze jeden dzień nowy, inny, pozornie obcy, ale w istocie swojej pełny nie tylko słonecznego, ale i serdecznego ciepła—polski dzień.

Podobny dzień przeżywała już ta uczelnia rok temu, kiedy to 28 lutego 1941 r. Naczelny Wódz Polskich Sił Zbrojnych został okryty szkarłatną togą doktora honoris causa. Dzisiaj, 23 marca 1942 r., otwarto tu Studium Prawno-Administracyjne dla słuchaczy polskich. Uroczystość zaszczycił swoją obecnością Pan Prezydent R.P. Władysław Raczkiewicz. Naczelnego Wodza reprezentował Dowódca Korpusu generał Kukiel. Poza tym byli obecni ministrowie Rządu Polskiego oraz członkowie Rady Narodowej.

Gdy senat akademicki wprowadzał do Parlament Hall'u Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, chór 3 Batalionu Strzelców odśpiewał starą pieśń *Gaude Mater Polonia* /Ciesz się Matko Polsko/. Pan Prezydent zajął miejsce na podwyższeniu po prawej stronie rektora uniwersytetu Sir James Irvine'a. Po lewej stronie Rektora zasiadł Minister Popiel, a następnie po dwóch profesorów polskich i brytyjskich. Pozostali ministrowie i profesorowie polscy i brytyjscy oraz przedstawiciele władz cywilnych i wojskowych zajęli miejsca w krzesłach ustawionych poniżej podium.

Po zajęciu miejsc chór żołnierski odśpiewał hymny narodowe—polski i brytyjski, poczem przemówił krótko Rektor Uniwersytetu, podkreślając znaczenie tego dnia, w którym mimo wojny żołnierze sprzymierzonego narodu dają dowód, że chcą wykorzystać jak najlepiej spędzony tu czas dla dobra i pożytku nie tylko swej Ojczyzny, ale i całego świata. Na zakończenie swego przemówienia rektor Sir James Irvin prosił Pana Prezydenta R.P. o zezwolenie otwarcia Studium.

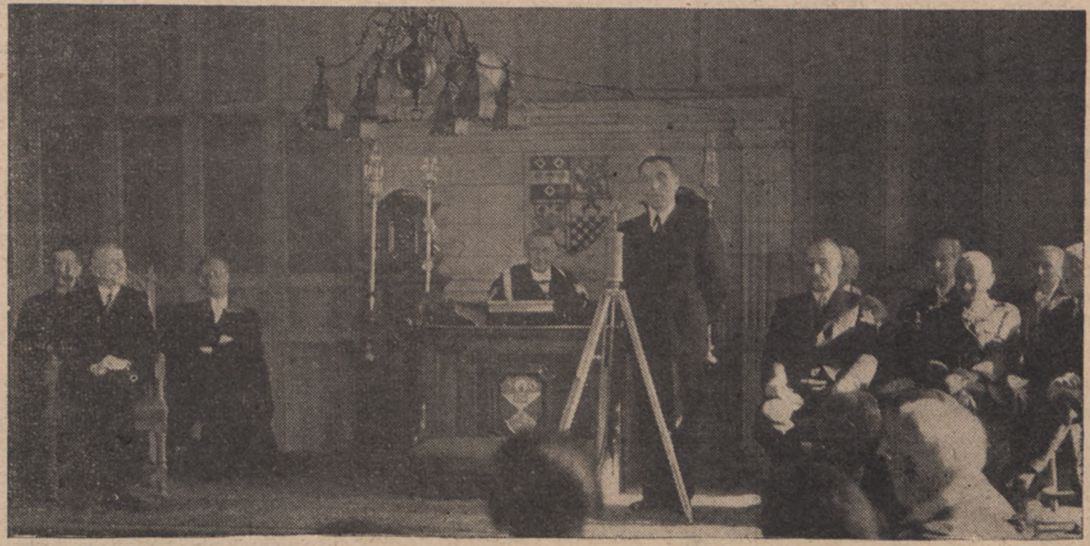
Właściwego aktu otwarcia dokonał dokonał Pan Minister Popiel jako opiekun tego Studium z ramienia Rządu.

Minister Popiel podkreślił w swym przemówieniu, że zorganizowanie tego studium nie odbyło się bez trudności, bo przecież znajdujemy się w warunkach wojennych, a większość słuchaczy, którzy się zgłosili w liczbie prawie 500—to żołnierze, jednak przy dobrej woli i wysiłku wielu osób plan został urzeczywistniony. Dzisiaj w czasie wojny, tutaj na uniwersytecie w St. Andrews zostaje otwarte polskie Studium Prawno-Administracyjne dla polskich słuchaczy.

Później przemawiał Dowódca I Korpusu Generał Kukiel, który na wstępie przekazał zgromadzonym najlepsze życzenia Naczelnego Wodza, a w dalszym ciągu oświadczył, że minęło już półtora roku od chwili, gdy pierwszy polski oddział przybył do St. Andrews. Ten pierwszy oddział to tak zwani "bogacze." Bogaci, tak jak bogatym może być żołnierz-tułacz. Bogaci sercem, wolą walki i tęsknotą do twórczej pracy. I z tej właśnie chęci do twórczej pracy powstały dążenia do nauki. Zrozumiałą jest rzeczą, że musimy przede wszystkim pamiętać o naszym obowiązku żołnierskim. Przez półtora roku musieliśmy przygotować się do obronnych i zaczepnych działań bojowych, a ponadto przysposabiać się w pełni do wymagań wojny nowoczesnej, tak, abyśmy w chwili przybycia do Kraju, mogli się stać w jak najkrótszym czasie armią wielokrotnie większą i pełnowartościową.

Dzięki półtorarocznemu wysiłkowi staliśmy się zdolni do wystawienia wielkiej jednostki pancernej, wielkiej jednostki motorowej i wielkiej jednostki spadochronowej, a poza tym wydzieliliśmy jeszcze wyszkolone kadry do Rosji i do Afryki.

W czasie tych prac nie zapominamy jednak o ciężkich zadaniach, które nas czekają po odzyskaniu Ojczyzny. W miarę możności prowadzono dokształcanie żołnierzy na wszystkich szczeblach wiedzy i niemal we wszystkich dziedzinach życia. W ciągu ostatniego roku przeszło 250 żołnierzy przeszło przez kursa wyższe, a przeszło 600 przez kursa w zakresie szkoły średniej. Około 800 przez zakres szkoły powszechnej.



Około 700 nauczycieli Szkotów uczy żołnierzy polskich języka angielskiego.

We wszystkich tych wysiłkach Rząd Rzeczypospolitej nie szczędził swej pomocy i serdecznej opieki. Obecnie daje również dowód, że docenia ważność otwarcia Studium Prawno-Administracyjnego.

Na zakończenie gen. Kukiel zapewnił Pana Prezydenta R.P., że żołnierze oceniają intencje Rządu i pragną pracowicie i ofiarnie przygotować się zarówno do służby wojennej na dziś jak i do służby obywatelskiej na jutro.

Po przemówieniu gen. Kukiela przemawiał prof. Glaser, który podkreślił specjalnie, iż wojna ta jest wojną o panowanie prawa.

Po nim zabrał głos przedstawiciel Stowarzyszenia Prawników płk. dr. Szurlej.

Dr. Szurlej uzasadnił ogólny wniosek wypływający z faktu dnia dzisiejszego, " . . . zasypaliśmy przepaść między pomysłem a wykonaniem, realizując ten pomysł. Stało się to dzięki wyzyskaniu działań wszystkich czynników, co daje dowód, że jest w nas jedność w wypadkach sprawy pożytecznej. Powinno to być przykładem, zachętą i nauką . . . Wymowną jest rzeczą, że studium prawa powstaje podczas wojny, dzieje się to dlatego, że u nas wojna nie jest celem, a tylko środkiem do zwycięstwa prawa nad bezprawiem . . . Na chwałę naszych żołnierzy zapisać trzeba, że od nich wyszło wołanie o studium—a w tym dowód, że myślą o przyszłości—a więc wierzą w Polskę. Nie dopominają się niczego, żadnych wygód, ale chcą być tymi, którzy staną przygotowani do zadań czekających ich w przyszłości . . .

Jako ostatni zabrał głos prof. Komarnicki wygłaszając wykład inauguracyjny p.t. "O roli prawnika w wyzwolonej Polsce."

Po zakończeniu tego wykładu wszyscy obecni przeszli do pięknie udekorowanej sali Town Hall'u, na wspólny obiad żołnierski, w czasie którego gen. Paszkiewicz jako gospodarz przemawiał pierwszy. Zaznaczył on, że jeżeli na tutejszym terenie panują tak wyjątkowo serdeczne i życzliwe stosunki pomiędzy społeczeństwem szkockim a polskim, jest to w dużej mierze zasługą obecnego rektora tej uczelni Sir James Irvine'a. Jest on prawdziwym przyjacielem nie tylko całej Brygady, ale całego Narodu Polskiego. Zebrani słuchacze uniwersytetu nagrodzili te słowa długimi oklaskami.

Po gen. Paszkiewiczu zabrał głos rektor uniwersytetu Sir James Irvine:

"Wierzymy wszyscy gorąco że dla cierpiącego Narodu Polskiego nadejdzie dzień wolności, bo wszyscy walczymy o prawo."

Poczem w serdecznych słowach zwrócił się do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej i wzniósł toast na cześć Polski i Jej Prezydenta.

Przemówienie wielkiego przyjaciela Polski i Polaków zostało nagrodzone długotrwałą burzą oklasków.

W odpowiedzi rektorowi uniwersytetu zabrał głos Prezydent Rzeczypospolitej, który podkreślił więzy łączące zaprzyjaźnione narody i wyraził głębokie przekonanie, że w wspólnym wysiłku wygramy wojnę i pokój. Poczem wzniósł toast na cześć króla Imperium Brytyjskiego Jerzego VI.

W dalszym ciągu swego przemówienia Pan Prezydent przypomniał zebranym, że obecnie w Polsce zamknięte są mury wszystkich uczelni. Młodzież polska nie ma żadnych możności kształcenia się i dlatego właśnie w zestawieniu z sytuacją w kraju nabiera szczególnej wagi otwarcie Studium Prawno-Administracyjnego na tutejszym uniwersytecie. Poczem Pan Prezydent zwracając się do rektora uniwersytetu i obecnych profesorów brytyjskich wyraził swoje podziękowanie za współdziałanie w utworzeniu tego studium oraz głębokie przekonanie, że Polacy będą napewno pamiętali jak wielki dług wdzięczności mają do spłacenia w tym kraju.

W godzinach popołudniowych odbył się cały szereg wykładów przewidzianych programem studiów. Pan Prezydent R.P., ministrowie oraz członkowie Rady Narodowej byli obecni na wykładzie prof. Grabskiego, który mówił o przemianach ustrojów gospodarczych, wykazując, że polska myśl prawnicza musi dążyć do stworzenia nowych przewodnich konstruktywnych idei dla przyszłego ustroju gospodarczego Polski.

KAMIL BOGUMIŁ CZARNECKI

"Forces Exhibition" w Londynie

Wystawa artystów-żołnierzy otwarta ostatnio w *National Gallery* w Londynie ma charakter dość niezwykły i niepodobna jest do zwykłego pokazu dzieł sztuki. Organizatorzy *Forces Exhibition* zastrzegają się zresztą w przedmowie do katalogu, że wystawiono po prostu wszystko, co żołnierze wymalowali, narysowali lub wymodelowali. Nie dokonano więc zwykłego przedwystawowego wyboru, porozwieszano eksponaty bez planu i w dużej mierze bez . . . ram.

To też, kiedy wchodzimy do pierwszej, parterowej sali, odnosimy wrażenie raczej jarmarku, niż wystawy sztuki. Wśród natłoku rysunków, malowideł i rozstawionych na środku modeli samolotów, okrętów i t.p. wojennych obiektów, oko błąka się bezradnie, bo, szczerze mówiąc, nie ma na czym zatrzymać uwagi. Także i w salach pierwszego piętra wśród olejnych obrazów Brytyjskich żołnierzy nuży malarza poprawność i jednostajność. Czasem tylko odpoczywamy na jakimś szkicu czy rysunku, może dlatego, że wykonany jest nie tak nieznośnie poprawnie, jak wszystko niemal dokoła.

Szukamy z kolei prac "narodów sprzymierzonych," które, jak zapowiada katalog, zastrzegły sobie wystawianie zwartymi grupami i swoją własną selekcję.

Już z brzegu oddychamy z ulgą na widok paru martwych natur i szkiców malowanych przez "wolnych Francuzów" z sensem i umiarem. Znienacka przenosimy oczy na główną ścianę sali i doznajemy uczucia bliskiego halucynacji.

Ściana ta jakby żywcem przywędrowała tu z warszawskiego I. P. S.-u. Garść polskich obrazów przemawia tu do nas swoim kolorowym językiem tak bardzo swojskim i własnym, że dopiero tutaj, wśród malarstwa tak nam dalekiego, jak angielskie, uświadamiamy sobie, jak to malarze nasi ostatnich kilkunastu lat zwarli się w jedną niemal rodzinę.

Zjawisko to dziwne i niespodziewane. Były wszak u nas kierunki w sztuce, grupy i koterie, zwalczające się zawzięcie. Odzwierciedlaja je zreszta dość wiernie zebrane tu obrazy naszych malarzy w mundurach.

Trudno nie spostrzec, że n.p. Mars, Natanson i Turyn do innej należą "szkoły," niż Topolski i Żyw. Rodowody Wasilewskiego, Haupta czy Jakubowskiego do innych znów nawiązują pokrewieństw. Ale tutaj odległości te bardzo się kurczą.

Inna ponadto zastanawia tu sprawa. Kiedy patrzę na obrazy Marsa wydaje mi się, że jak gdyby między rokiem 1939 a 1942 życie malarzy /i narodów/ toczyło się trybem normalnym i codziennym. Pamiętam urzadzoną tuż przed wojną zbiorową wystawę Marsa w I.P.S.-ie. Jego obrazy "wojenne" z drogi wtedy pokazanej, nie zbaczają. Niektóre zaś /n.p. "Kobieta z wazonem"/ mają miejsca namalowane pełniej i energiczniej, niż to sobie z warszawskiej jego wystawy przypominam. Ruszkowski znowu, który już w Paryżu zdradzał dążność do przełamania w sobie impresjonizmu, zrobił na tej drodze dalszy wyraźny krok naprzód.



Głowa gen. Sikorskiego
J. Hennelt

Czyżby więc wojna, służba w obozach i koszarach, przejścia różne i anormalne warunki życia nie dosięgały w człowieku tych pokładów wrażliwości, w których obrębie zapadają postanowienia rozstrzygające o charakterze dzieła sztuki?

Inną znowu, może odwrotną stronę tego samego zjawiska oświetla przemiana malarska Żywa. Autoportret jego, choć w mundurze i z piekną ułańską na kołnierzu dystynkcją, jest rodzonym przedwojennym dzieckiem "bractwa św. Łukasza," maniery Pruszkowskiego, i jego programowego "rozmachu." Ale Żyw pokazał i inne płótna, jak n.p. portret Natansona i dwie rysowane głowy, daleko odbiegające od "autoportretu" i dawnych prac. Czy to postęp, rozwój? Nie wiem.

Ale nie podobna nie stwierdzić, że malarstwu niektórych artystów nie tyle może służba wojenna, ile nowe otoczenie, czy nowe przyjaźnie, przyniosły świeże i pożyteczne pobudzenia.

Nie piszę "recenzji" z wystawy i nie roztrząsam tu, ani tym bardziej nie wydaję ocen o pracach i wysiłkach artystów służących w wojsku. Jeśli o paru kolegach i ich pracach wspominam, przykładowo, nie znaczy to, by i inni nie potwierdzali ogólnego wrażenia: że obrazy polskich malarzy wybijają się na *Forces Exhibition* nie tylko poziomem, ale tym, że razem pokazane grają jednolitym kolorowym i bardzo odrębnym akordem. I—po drugie—że widocznie malarzom naszym nie brak nerwów i przywiązania do rzemiosła, skoro w warunkach, w jakich żyją, nie schodzą ze swej drogi a nieraz okazują dowody rzetelnego rozwoju.

Ale jakżeż trudno pozostać konsekwentnym? Postanowiłem ogólnie tylko wystawę scharakteryzować i powstrzymać się od osądów.

Niech mi jednak będzie wolno wyznać, jak wielką sprawiły mi radość rysunki Marka Szwarca. Pamiętam jak w czasie poprzedniej wojny światowej robił w Warszawie rysunki bardzo podobne, o takiej samej plastycznie dążności. Dziś, po dwudziestu latach, piórkowe rysunki "starszego strzelca" Marka Szwarca wyrażają w miejsce nerwowości już tylko wybitną wrażliwość na formę, a w miejsce świadomej "nowoczesności" poważną prostotę i doskonały umiar.

Drugie wyznanie odnosi się do Oktawiana Jastrzembskiego. Prac jego nie znam prawie zupełnie. Ale "Ręka Olgi Boznańskiej" to obraz dziwny /nie wiem czy dobry/ mający w sobie jakąś niewątpliwie dużą zawartość prawdziwego sentymentu.

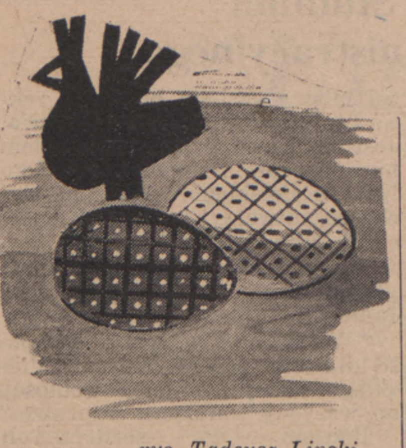
Wreszcie trzecie i ostatnie zwierzenie: jest na wystawie rzeźba Tadeusza Kopera, przedstawiająca głowę. Praca ta przesłoniła mi wszystkie na wystawie odniesione wrażenia. Nie waham się określić ją jako dzieło sztuki bardzo wysokiej klasy. I jestem pewny, że się nie mylę. A przecież tak rzadko tylko zdarza się malarzowi być pewnym, że sąd jego nie jest tylko kaprysem chwili.



Z. Ruszkowski *Pociąg 1941*

HENRYK GOTLIB

Bez black-outu



rys. Tadeusz Lipski

Nie szukałem jej w szkockim parku . . . Przyszła do mnie niespodziewanie i uderzyła całym przepychem wdzięku. A stało się to wtedy, gdy cisnąłem w kąt gazetę, według której "wiosna tegoroczna niesie ukryte niespodzianki polityczne." Stało się to wtedy, gdy przypadkowo wziąłem do ręki małą książkę Dynowskiej: "Polska w zwyczaju i obyczaju" i na chybił trafił otworzyłem na str. 189 rozdział: . . . "WIOSNA."

Gdy zacząłem czytać był zmierzch, potem było mi bardzo jasno, a potem . . . zaczęło świtać dokładnie według ustaleń wiosennego "blackoutu." Ten zmierzch zaczął się od skowronka i od bociana, taki znany fragment z Dygasińskiego: "Na odlocie":

"Z tych wszystkich, którzy za granicę uciekają—on pierwszy powrócił. On z ziemi lubi patrzyć w odkryte niebo, spod nieba-na odkrytą ziemię."

Taka prosta historia—coroczny powrót skowronka. Coś mną wstrząsnęło. Więc on już T a m jest! Pierwszy wrócił spośród tych, którzy . . . "za granicę uciekają." Takie to nic, taka mała kulka, taka szara figura pomiędzy wielkimi ptakami — i już tam w Polsce patrzy spod nieba na odkrytą ziemię.

Spryciarz skowronek spotkał się już pewnie z panem Boćkiem, który "zajął stare gniazdo na grzbiecie chłopskiej chałupy." Czy znalazłeś je polski boćku? Myślą jesteśmy przy tobie. Jeżeli starego gniazda nie ma, wiemy napewno, że będziesz budował nowe. Chłopski ptak z ciebie—twardy i uparty. Znał ciebie dobrze Dygasiński:

"Nieraz oto szalony wicher dmie, człowiek zaledwie może ustać na nogach, a bocian się trzyma na jednej, nastawiwszy pierś wiatrom, które go daremnie usiłują strącić z grzbietu stodoły."

Wicher dmie nad naszą ziemią, polski boćku, a ty wróciłeś już w czas tej światowej wichury i stoisz na jednej nodze wysoko na wierzchołku polskiej strzechy. Nastawiaj pierś wiatrom, nie strącą cię one z twego gniazda. A gdy bardzo będą szarpały . . . spuść drugą, ukrytą pod skrzydłem, nogę. I trwaj. Jak chłop.

Ta rozmowa ze skowronkiem i boćkiem przyniosła skądś zapach młodej trawy. Rozmarzyłem się na dobre. Wytrzeźwił mnie zupełnie z tego nastroju dalszy ustęp: "O zwyczajach wielkanocnych w dawnej Polsce." Jednym tchem przeczytałem" o tłuczeniu garnków, o chłostaniu się kijkami wierzbowymi, o chodzeniu z oracją." I o tych kolbergowskich "puchernikach," którzy "wymazawszy się sadzą wędrują po bogatszych chatach, prawiąc wesołe oracje i prosząc o dary." O dziwo! Zapach młodej trawy zastąpiła woń starego polskiego kadzidła. A może s a d z a?

Wczytując się dalej w opisy naszych pięknych obyczajów nie mogłem wyjść z podziwu dla siły narodowej, która po dziś dzień zachowała je w tradycji. Weźmy n.p. takie klekoty do kołatania, grzechotki, czyniące niepotrzebny harmider, kije służące do walenia nimi w przygodne ławki, "bałwany zrobione ze starych gałganów," wypchane w środku słomą, windowane na wysoką wieżę. Duma rozpiera mi serce: jesteśmy tradycjonalistami. Niech się Anglicy schowają!

Inna sprawa, że nie wszystkie obyczaje przetrwały do dzisiaj choćby w szczątkowej formie: dawniej królowie polscy we Wielki Czwartek myli nogi dwunastu ubogim starcom. Był to piękny akt pokory chrześcijańskiej. Po tym obyczaj ten przeszedł na biskupów. Szkoda! Chętnie bym się podjął wyszukania na terenie Wielkiej Brytanii takiej dwunastki ubogich starców, aby ci spośród /możnych i rządzących, którzy okazują tak mało pokory, zakasali rękawy i z zachowaniem "ograniczeń mydlanych" umyli im nogi tak pokornie, jak nieraz dumnie innym "zmywają głowy." Pokora? O gdybyż i ona weszła w naszą krew, gdyby i ona stała się tradycją! Bociek polski stałby jeszcze mocniej na chłopskiej stodole.

Zamyśliłem się. Nie wiem skąd przyszedł do mnie zapach hijacyntów wielkanocnych i barwinku. Usłyszałem salwy. . . . Nalot? Nie. To już nowy rozdział: "O rezurekcji." Przymknąłem oczy. . . . Plac Mariacki we Lwowie w Wielką Sobotę, statua Matki Bożej, tonąca w kwiatach i światłach. Wyprostowany, błyszczący szereg żołnierskich mundurów. Jak wczesne pierwiosnki zakwitają biało-żółte proporczyki Ułanów Jazłowieckich. . . . Plac Mariacki śpiewa "Alleluja."

A po tym przez cały wieczór i następny dzień niekończące się we Lwowie detonacje. Przyszły Kolberg będzie musiał poważnie roztrząsnąć walkę batiarów z aptekarzami czyli "pigularzami" lwowskimi, którzy w okresie wielkanocnym racjonowali w sposób bezwzględny dostawy "kalichlorku." Wielkanoc we Lwowie to nie tylko wewnętrzny nastrój gniazd rodzinnych, ale i nastrój lwowskiej ulicy, słynna kanonada z klucza, to perfidne używanie jako "odpalacza" poczciwego starego tramwaju lwowskiego, który rozpędzony z górnego Łyczakowa najeżdżał na podstawione na szynach ładunki "kalichlorku." Huczą mi w uszach te batiarskie strzały, uśmiecham się do nich w myślach w czasie tej huczącej nie wiwatowymi strzałami wojny "z ukrytymi niespodziankami politycznymi."

Nagle wstrząsnął mną dreszcz oburzenia. Słuchajcie, słuchajcie! "W Wielką Sobotę rano wiązano śledzia na długim powrozie i wieszano na drzewie, karząc go niby za to, że przez sześć niedziel panował nad mięsem morząc żołądki ludzkie słabym posiłkiem swoim." Polski śledziu! Gdziekolwiek się teraz kryjesz, czy w schronie u "Rubensa," czy w staropolskiej kuchni Kahna, przepraszamy cię w imieniu naszych przodków. Przyjdź do nas. Nie powiesimy cię na długim sznurze, bośmy cię długo nie widzieli, a żołądki nasze morzy brytyjski wysuszony "fish and chips." Pora zrehabilitować polskiego śledzia. Może by się w tej sprawe zebrał jakiś komitet. W każdym razie temat jest. Była by okazja do zorganizowania jeszcze jednej uroczystości i . . . chodzenia z oracją? Jest temat dla grubych ryb: honor śledzia.

W tym miejscu moja gospodyni wniosła "cup of tea" i "some toast" . . . a ja otworzyłem książkę na stronicy 199 "Święcone" i czytam: "Tradycyjne jajko." . . . . Moja gospodyni w drzwiach dodała: "I am sorry, no egg." Jak to człowiek nie doceniał jajek. Prawda były pisanki. Szalony pomysł wpadł mi do głowy. Co by powiedziała moja gospodyni, gdybym bezwzględnie zażądał jednego całego jajka nie do herbaty, tylko do . . . malowania. Przypuszczam, że kazała by mnie aresztować w myśl nowych przepisów surowego życia.

A propos—czytajmy dalej:

"Wojewoda Sapieha w Dereczynie wyprawiał święcone. Na samym środku był olbrzymi baranek całutki z pistacjami. Ten specjał dawano tylko damom, senatorom i dygnitarzom."

Twardzi jesteśmy, tradycja głęboko się u nas zakorzenia. Niedawno też byłem na pewnym zebraniu, gdzie wprawdzie nie pistacje, ale zwyczajne piwo dawano tylko damom i dygnitarzom od kapitana w górę. Niech się Angliki schowają ze swoją tradycją. Przecież ten wojewoda w Dereczynie to rok 1828 a teraz jest 1942 i gdzie Dereczyn . . . a gdzie Szkocja? A tradycja trwa. Wciąż to samo.

Kartki migają szybko. Czytam jednym tchem. Jestem już przy "dyngusie, Emausie, maiku i gaiku." Chłopcy chodzą po chatach z piosenkami i przebrani za baby lub za cyganów śpiewają:

"Dajcie nam parę jajek
"Nie narobimy na was bajek."

E, żeby się nawet przebrali za niewinnych emigrantów, ja bym i im nie wierzył. "No eggs," ale bajek co raz więcej.

Dyngus czyli oblewanie wzajemne przetrwało aż do dzisiaj w lekka zmienionej formie: przed tym ciągali siebie do koryta—teraz zaś odciągają się od koryta. Co tu tego? Co tu tego? Ile barwy, ile koloru? N. p. taka "Rękawka krakowska" (L. Gołębiowski: "Gry i zabawy").

"Tłumy chłopców miejskich i wiejskich trzymają tradycyjnie w oblężeniu część góry, skąd im bywają rzucane orzechy, jabłka, bułki, pierniki i t.p.rzeczy, za którymi na złamanie szyi spycha jeden drugiego na dół. Chwytają, co który może. Czasem jeden orzech złapie dziesięciu i piętnastu, a ten który go zdobywa, kilkanaście pocisków od swoich współzawodników odnosi w przydatku. Smutek wielki, jeżeli deszcz lub zimno przyjemność tej zabawy odejmuje."

Nie martw się, mości Gołębiowski. Zabawa trwa mimo wielkiego smutku, mimo deszczu i zimna wyspiarskiego. Jeden orzech łapie dziesięciu i piętnastu i pociski są i góra stroma. . . . I jeden drugiego spycha na złamanie szyi. Ucieszysz się, mości Gołębiowski: pierniki też pozostały. Tak, tak gry i zabawy w tradycję naszą wrosły.

W ten sam czas wiosenny, letni, w okresie zabaw i gier polskich, przypadał wybór "króla kurkowego." Piękna, staropolska tradycja strzelecka: "Kto tego kurka, to jest kogutka drewnianego, aż do zniszczenia zupełnego ustrzelił, ten na rok cały mianowany był "królem kurkowym." Członków Towarzystwa Kurkowego obowiązywały pewne przepisy ,moralne: "za złorzeczenia kłótnie, zniewagi wzajemne, karani byli pieniężnie. Kłamstwo było wśród nich surowo potępione." A oto wyciąg z "regulaminu" tego towarzystwa:

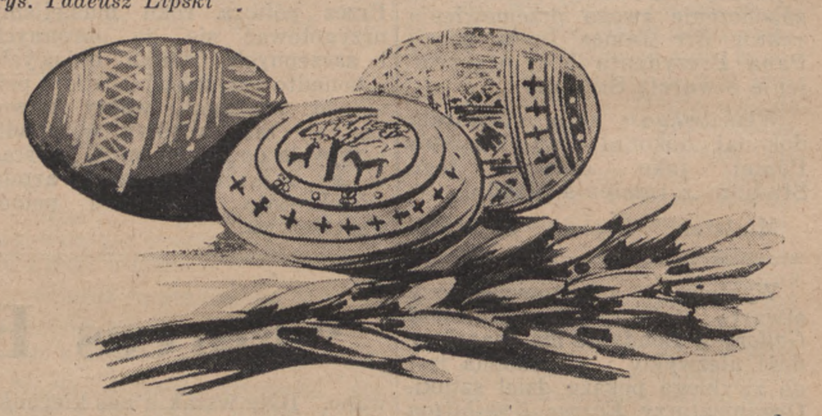
"Kto po nieudanym strzale unosi się gniewem i w tym uniesieniu kuszę od siebie odrzuca, obowiązany jest ją podnieść, grosz kary zapłacić i jeszcze dodatkowo s p o j r z e ć n a w y m a l o w a n e g o n a ś c i a n i e a z y n u s a c z y l i . . . o s ł a."

Więc mościpanowie. Po nieudałych strzałach nie odrzucajcie od siebie broni. Dobrowolnie spójrzcie na wymalowanego "azynusa." Nasi ruchliwi malarze artyści-plastycy powinni natychmiast pomyśleć o ozdobieniu kilku najważniejszych ścian . . . staropolskimi azynusami. To może przynieść wiele pożytku I z czystym sercem będziemy musieli przyznać, że i polski osioł spełnił swoje zadanie.

Jeżeli osioł zawiedzie, to już pozostaje nam tylko strona 109 i Dygasińskiego słowa o polskim boćku. Śpiewaj mu polski skowronku w czasie tego strażowania na jednej nodze. I trwajcie tak obydwaj, skoro udało się wam wrócić tak wcześnie i "patrzyć spod nieba na odkrytą ziemię . . ."

WIKTOR BUDZYŃSKI

rys. Tadeusz Lipski



Szkic sytuacyjny

"WIN OR DIE"

Generał Mac Arthur w mowie wygłoszonej po zebraniu rady gabinetowej Australii powiedział, że walka jaka się toczy obecnie, jest walką bez pardonu, że niema mowy o żadnym kompromisie i że *albo zwyciężymy albo padniemy*. Powiedział, że ojczyzna jego, Ameryka, rzuci w bój wszelkie zasoby jakie posiada i że da również krew własnych obywateli. Przybywam tutaj—powiedział generał Mac Arthur—jako żołnierz *wielkiej wyprawy krzyżowej* o sprawę wolności.

Słowa dobrego żołnierza utrafiają w sedno. Istotnie, od Ameryki oczekujemy nietylko zasobów i sprzętu, ale także pełnego wysiłku jeżeli chodzi o siłę ludzką. Armia amerykańska jest potrzebna na wszystkich frontach, albowiem ten olbrzymi rezerwoar ludzki musi grać w tej wojnie podobnie jak grał w wojnie poprzedniej. Dopiero wejście tego olbrzymiego rezerwoaru ludzkiego w wojnie światowej nr. 1—jak powiadają Amerykanie—zdecydowało o losach wojny. Nie należy o tym zapominać.

Mac Arthur słusznie powiada, że wojna ta jest krucjatą. Musi ona być krucjatą i musi być prowadzona w duchu wyprawy krzyżowej, *z wiarą i energią*, albowiem totalistycznemu rozmachowi nie można przeciwstawiać li tylko połowicznego wysiłku albo też ducha sportowego. Chodzi tu o rzeczy większe aniżeli o wynik sportowy i pokonanie przeciwnika w zawodach.

POCZĄTEK KWIETNIA?

Obserwatorzy brytyjscy powiadaja, że pierwsze dni kwietnia przyniosą zapewne wyjaśnienie zagadki, w jakim kierunku pójdzie uderzenie niemieckie. Wydaje się, że pewne względy przemawiają za tego rodzaju teorią. W pierwszych dniach kwietnia 1940 Hitler runął *na Norwegię*, z początkiem kwietnia 1941 pancerne dywizje niemieckie wdarły się do *Grecji i do Jugosławii*. Być może zatem, że i tym razem Hitler zechce w pierszych dniach kwietnia dokonać działań zaczepnych.

Ale gdzie i w jakim kierunku pójdą one? W dalszym ciągu nie wiemy w tej sprawie *nic pewnego*. Może on pójść oczywiście na Rosję, chociaż zdaje się, że jest na to jeszcze grubo za wcześnie i że trzeba będzie wyczekać na zakończenie pory *odwilży*. Na razie pora ta nawet się nie zaczęła, a surowa zima trzyma Rosję w swoich szponach /nawet na południu Rosji leżą jeszcze śniegi, a w Stambule leży również śnieg/. Wydaje się, że w tych warunkach rozpoczynanie ofensywy nie byłoby celowe. Pora odwilży nie pozwala na używanie czołgów podobnie i transporty motorowe muszą być poważnie ograniczone. W tym okresie trzeba używać niemalże wyłącznie linii kolejowych oraz *transportu powietrznego*. Ten ostatni nie jest najbezpieczniejszy. Jak dowodzą doniesienia wiarygodnych sprawozdawców, w okolicy Starej Russy Niemcy, usiłując zasilić swoją osaczoną 16 tą armię, używali na wielką skalę *transportowców Ju* 52, które padały w dużej mierze ofiarą ognia przeciwlotniczego i pościgowców sowieckich.

Wydaje się, że nie będzie to rzecz łatwa zacząć w Rosji, zanim ziemia jako tako nie obeschnie. Tym większa pokusa a nawet konieczność, ażeby zacząć gdzieindziej. Ponieważ rok temu uderzenie niemieckie poszło na *Bałkany*, wydaje się, że w tym roku kampanję w Rosji poprzedzi cios w Turcję.

BUŁGARIA, TURCJA, MALTA

Król Borys bułgarski obiecał pono Hitlerowi 400 tysięcy wojska. Powiedział też pono, że nie ma ochoty uderzać na Rosję, albowiem sentymenty ludu bułgarskiego do Rosji są żywe i nie będzie można obudzić na poczekaniu nienawiści do Rosji. Wynikałoby z tego, że Bułgaria gotowa jest pójść na *Turcję*, swojego starego wroga.

Kapitulacja bułgarska jest bodaj zupełna i nie mogło być inaczej. Co teraz zrobi Turcja, jeżeli przyłożą jej rewolwer do piersi? Koncentracje niemieckie na granicy tureckiej są pewnie wcale znaczne, a jeżeli dodamy do tego 400 tysięcy Bułgarów otrzymamy armię bardzo poważną. Niemcy zapewne zechcą rozbijać siły przeciwnika dywizjami pancernymi a mozolną robotę oczyszczenia terenu zostawią piechocie bułgarskiej.

Turcja napewno czuje, że sprawa jej neutralności wisi na włosku. Wie, że atak na nią nie będzie łatwy do odparcia i że jest ona w pewnej mierze osaczona, albowiem na Morzu Egejskiem panuje flota włoska posiłkowana przez jednostki niemieckie. Turcja zatem będzie, jeżeli atak niemiecko-bułgarski dojdzie do skutku, wzięta odrazu w ogień bardzo niebezpieczny.

Kierunek ataku wyznacza w danej chwili akcja jaką *Luftwaffe*, przerzucona na Sycylję w poważniejszych ilościach, prowadzi w stosunku do Malty. Malta przeszła blisko 1650 nalotów i trzyma się niebywale. Obrona Malty jest, obok obrony W. Brytanji, najlepszym wyczynem lotniczym. Pościgowce brytyjskie oraz artylerja przeciwlotnicza Malty zdają wspaniale egzamin.

Ataki, jakie Luftwaffe przypuszcza raz za razem, ataki coraz cięższe i co raz uporczywsze, są zapowiedzią nadejścia akcji na Środkowym Wschodzie. Jeżeli istotnie Rzesza chce uderzyć na Turcję, to musi posiadać zupełną swobodę działania *z Krety* /to będzie wielka baza uderzenia lotniczego/. Jednakże Kreta nie będzie spokojna, jeżeli Malta działa i razi wroga.

Malta jest także ważna dla wszelkiego uderzenia w kierunku *Egiptu*. Ofensywa Rommla na wielką skalę nie jest do pomyślenia, jeżeli Malta czuwa. Wprawdzie Rommel otrzymuje napewno posiłki, ale ażeby mógł się czuć naprawdę bezpieczny i ażeby jego akcja ku granicom Egiptu mogła liczyć na jakie takie powodzenie, musi on wyeliminować Maltę.

ŚRODKOWY WSCHÓD AKTUALNY DO CZERWCA.

Działania na Środkowym Wschodzie można prowadzić teraz i trzeba w czerwcu je kończyć. Dlatego wszystko przemawia za tym, że działania te zaczną się teraz—albo trzeba je będzie odłożyć *do jesieni*. Trzeba zmieścić niejako te działania w czasie tak, ażeby rozpocząć Rosję na czerwiec.

Tak to wygląda na oko. Są to jednak obliczenia *papierowe*, które mogą się okazać całkowicie nietrafne. Obliczenia te oparte są bowiem na podobieństwach i analogiach z roku zeszłego. Czy nie będą one mylne, czy nie okażą się one złudne, zobaczymy niebawem.

Nie brak bowiem obserwatorów, którzy są zdania, że jeżeli chodzi o Rosję, nie będzie jakiegoś "otwarcia" działań, jakiejś wielkiej ofensywy, ale że pewnego dnia dojdzie do rozpalenia się walk na całym froncie—*rozpalenia się walk*, które ani na chwilę nie ustawały. Być może, że istotnie premiera ofensywy będzie *cicha*, w porównaniu z zeszłym rokiem.

Cisza, jaka panuje obecnie, jest niepokojąca i jest typową ciszą przed burzą. Rzesza raz jeszcze używa swojego ulubionego sposobu *zaczajenia* i rzucenia się nagle na upatrzoną ofiarę. Daje to właściwy efekt, o który Rzeszy chodzi, daje to łoskot i łomot, jaki potrzebny jest, ażeby zrobić wrażenie nietylko na ofierze ataku ale na całym *świecie*.

Wydaje się, że czasu jest już niewiele i że istotnie sezon zacznie się lada dzień. Tym więcej uwagi trzeba zebrać, tym więcej woli trzeba skupić. ażeby wytrzymać to pierwsze uderzenie i ażeby *sparować ciosy*. Nie będą one napewne lekkie. Rzesza nie spała przez zimę. Nie należy się zatem liczyć z osłabieniem maszyny niemieckiej—nim runie ona, zechce pokazać światu co umie.

Londyn, 28 marca 1942.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Świadectwo polskiej chwały morskiej



W obecnej wojnie, "totalnej," jesteśmy zmęczeni t.zw. "propagandą." Słowo to wytarło się, jak szeląg i nie wielu już ludzi zdaje sobie sprawę, że właściwie oznacza ono "rozpowszechnianie," "szerzenie posiadanych wiadomości," a więc szerzenie prawdy. Źli "propagatorzy" i nawał "kiepskiej propagandy" nauczył nas raczej rozumieć słowo "propaganda" fałszywie, w sensie "przedstawiania rzeczy w świetle lepszym, korzystniejszym," lub wręcz nakręcenia wiadomości na swoją korzyść. Jest to jednak propaganda zła, obliczona na krótką metę. Doprowadza ona w następstwie do "antypropagandy," gdy ludzie przekonają się o prawdzie, a z czasem przestają wogóle wierzyć.

Dobra, słuszna propaganda jest to rozpowszechnianie w umiejętny sposób rzeczy i faktów prawdziwych, jest to podawanie do wiadomości publicznej faktów i zdarzeń, które mówią same za siebie, dających się sprawdzić i potwierdzanych przez bieg wypadków. Jest to bowiem sztuka niesłychanie trudna i wymagająca dużej wiedzy, specjalizacji i . . . inteligencji.

W Londynie odbywał się "Tydzień Okrętów Wojennych" /Od 20 do 28 marca/ połączony ze zbiórką pieniędzy na dalszą rozbudowę Floty Brytyjskiej. Największe miasto świata ambitnie postanowiło zebrać 150 milionów funtów szterlingów i istotnie tę astronomiczną cyfrę osiągnęło. Dla jej zdobycia jednak uruchomiono cały szereg imprez, mających zachęcać obywateli do kupna "*Navy bonds.*" Jedną z bardziej interesujących imprez była wystawa Marynarek Wojennych państw sprzymierzonych, urządzona w gmachu wielkiego magazynu Selfridge. Wystawa ta była właśnie "dobrą propagandą," dającą świadectwo prawdzie i sugestywnie działającą na masy. A zwiedziło tę wystawę podczas jej trwania kilkaset tysięcy Londyńczyków.

W "Wystawie Marynarek Wojennych Flot Sprzymierzonych" wzięły udział Marynarki Wojenne: brytyjska, U.S.A., sowiecka, holenderska, norweska, grecka i polska. Wolni Francuzi udziału w tej wystawie nie wzięli, urządzając swoją osobno w innym lokalu.

Pomimo, że Wystawa ta była pomyślana jako "Wystawa propagandowa" i poszczególne stoiska były właśnie w ten sposób skomponowane, to jednak można było znaleźć na niej wiele nad zwyczaj interesujących fragmentów nawet dla fachowca. Świadczy to dobrze o zasadniczym założeniu organizatorów.

Nacisk marynarek wojennych, tak potężnych jak brytyjska, czy U.S.A. został położony na fotografiach. Każdy Brytyjczyk zdaje sobie bowiem doskonale sprawę, czym jest jego *Navy* i wie dokładnie, że jest to najpotężniejsza marynarka wojenna świata, a z nią może się równać jedynie marynarka U.S.A. To też jest to sprawa dobrego smaku obu demokracji anglosaskich, że na wystawie, pomimo nieprawdopodobnie wielkich możliwości w stosunku do innych Sprzymierzeńców, stanowiska ich były skromne i raczej podkreślały wspólnotę ze Sprzymierzonymi, niż dawały obraz swej potęgi.

Nie mniej jednak fotografie stoiska brytyjskiego były przepyszne. Takie zdjęcia z morza mogą rzeczywiście zrobić jedynie ludzie morza. Szereg przedmiotów "codziennego użytku" dopełniał wymowy obrazu plastycznego.

Bardzo ciekawe było stoisko holenderskie, gdzie obok fotografji wystawiona była broń ręczna i odznaki specjalności holenderskiej marynarki wojennej. Po obu stronach stoiska widzieliśmy dwa wielkie malowidła przedstawiające bitwę przy brzegach Jawy i śmierć holenderskiego kontrtorpedowca w porcie Rotterdamu podczas niemieckiej inwazji w r. 1940.

Norwegia pokazała szereg bardzo interesujących fotografji oraz model plastyczny fiordu Oslo w miejscu, gdzie został zatopiony ciężki krążownik niemiecki "Blücher." Nad tym modelem namalowano wielki obraz, przedstawiający moment zatopienia "Blüchera." Norwegowie potraktowali swoich nierycerskich przeciwników niemieckich w sposób aż nadto rycerski. Na malowidle wystawowym widzieliśmy bowiem Niemców bohatersko stojących na straszliwie już pochylonym pokładzie "Blüchera." Orkiestra transportowanej piechoty gra, gdy większość marynarzy i żołnierzy niemieckich stoi wyprężonych na baczność /przy takim przechyle?/. Inni giną w płomieniach lub skaczą do wody. Bardzo to chwalebne i rycerskie, gdyby było zupełnie zgodne z historią i gdyby przeciwnicy byli choć w części tak samo rycerscy. Jak na razie zarówno w Norwegii, jak i szczególnie w Polsce, zachowują się jak oprawcy.

Grecja pokazała tylko parę fotografji oraz model jednego z licznych swoich żaglowców, na których Grecy wykonali tak ciężkie i niewdzięczne czyny bojowe, jak ewakuacja armii sprzymierzonych najpierw z samej Grecji, a potem z Krety.

U.S.R.R. ograniczyło się do kilkunastu zdjęć marynarzy, parad i zabaw na pokładzie. Stany Zjednoczone dały bardzo interesującą kolekcję zdjęć, zbiór odznak i mundurów Marynarki Wojennej i Piechoty Morskiej.

Nie będzie żadną przesadą, gdy się stwierdzi, że stoisko Polskiej Marynarki Wojennej było i najbardziej artystyczne i najciekawsze wystawowo i skomponowane z myśla przewodnią, której w innych stoiskach trochę brakowało.

Centrum polskiego stoiska zajęła wielka mapa Bałtyku i Morza Północnego, namalowana na ścianie. Na mapie tej, rzucającej się w oczy żywym błękitem, została nakreślona pomarańczowym szlakiem droga wspaniałego okrętu podwodnego nieodżałowanej pamięci "Orła." W plastyczny sposób przedstawiona została cała wędrówka dzielnego okrętu od chwili jego wyjścia na patrol z Gdyni aż do jego ucieczki z Tallina, dalszej akcji na Bałtyku, przejścia cieśnin Duńskich, zawitania do Wielkiej Brytanii i zatopienia transportowca niemieckiego "Rio de Janeiro." Wycięte sylwetki okrętu podwodnego, kontrtorpedowców, samolotów i statków, ponaklejane na mapę, uplastyczniają romantyczne dzieje okrętu.

Pod tą wielką mapą ustawiono stół, na którym pod szkłem widniał skarb nad skarbami: oryginalna mapa Bałtyku, sporządzona przez oficerów "Orła," częściowo z pamięci, częściowo na podstawie pelengów latarni morskich. Jest to bezwzględnie najciekawszy przedmiot na wystawie, dokument polskiej przedsiębiorczości, dzielności i wiedzy. Na mapie widoczne są wyraźnie pelengi i wykreślenia kursów. Według niej, co się wydaje wprost nieprawdopodobne, "Orzeł" przebył niezmiernie niebezpieczne cieśniny i mielizny Bałtyku. Nazwy, które oficerowie "Orła" nadali niektórym miejscom, których nazw oryginalnych nie pamiętali, mówią same za siebie: "Mielizna Strachu," "Przylądek Niepewny" i t.p.

Na tym samym stole rozłożono otwarte na ciekawszych miejscach czy ilustracjach egzemplarze angielskiej książki ppor. mar. J. Sopoćki: "Na patrolu O.R.P. Orła."

Słusznie położono wybrany akcent na jednym i na razie najbardziej popularnym czynie Polskiej Marynarki Wojennej. Ze względów wystawowo-propagandowych taki wybór jest słuszny. Nie mniej jednak każdy, kto zna historię Marynarki Wojennej mimowoli szukał imion: "Grom," "Wicher," "Sokół," "Wilk," "Błyskawica," "Burza," "Piorun," "Garland," "Kujawiak," "Krakowiak" i t.p. Nie były one podane, ale ich czyny widniały w doskonale skomponowanych trzech wieńcach /z prawej strony mapy, obok świetnie dobranych zdjęć/: Narvik-Skagerrak, Dunkierka-Calais, Lofoty, Bitwa o Atlantyk-Morze Śródziemne.

Z lewej strony mapy umieszczono doskonały tryptyk propagandowy z krótkimi napisami. Na pierwszym obrazie tryptyku widniały dwie kolorowe mapki sylwetkowe Polski i Wielkiej Brytanji z oznaczoną odległością Londyn-Douvre równą . . . długości polskiego wybrzeża morskiego. "W roku 1919 Polska otrzymala 86 mil wybrzeża, na którym były tylko piaski i ubogie wsie." Drugi obraz tryptyku przedstawiał model portu Gdyni z r. 1939 oraz napisy: "w r. 1919, Gdynia—500 mieszkańców, w roku 1939—140.000 mieszkańców. W roku 1919 tonnaż polskiej floty handlowej—zero, w roku 1939—130.000."

Na trzecim obrazie widzieliśmy perspektywicznie przedstawioną flotę wojenną Polską i napis: W r. 1939 Polska Flota Wojenna do ostatka broniła polskiego dorobku na morzu. Obok zaraz trzy wielkie wieńce i napisy /jakże charakterystyczne w dobie Singapore!/: Westerplatte—260 strzelców morskich broni się przeciw przeważającym siłom niemieckim —8 dni; Gdynia—broni się przeciw potędze niemieckiej 18 dni; Hel-baza morska walczy do ostatka przez 30 dni i kapituluje jako ostatni punkt oporu w Polsce.

Z prawej strony stoiska polskiego umieszczono mundury marynarzy i podoficerów polskich, tablice odznak stopni i tablice odznak specjalności. Pięknie stylizowana plansza orła z palmami z czapki oficerskiej oraz malowany proporzec dopełniały naprawdę artystycznej całości. Bandery wojenne zwisały po obu stronach stoiska.

Stoisko projektował art. malarz Tadeusz Lipski. Prace artystyczne wykonali artyści Lipski i Stefan Osiecki. Udział w wystawie jest zasługą ruchliwego referatu prasowego Marynarki Wojennej przy współpracy Ministerstwa Informacji i Dokumentacji. Życzliwe panie angielskie pełniły dyżury na Wystawie, objaśniając ciekawych i rozdając broszury o Polsce. Przed stoiskiem polskim gromadziły się tłumy ciekawych.

Ciekawe, że większość zwiedzających Anglików wiedziała już o "Orle" i miała podstawowe wiadomości o Polskiej Marynarce Wojennej. Marynarzom polskim, dyżurującym przy stoisku, zaimponował wręcz 12 letni gentleman.

—*Yes*,—powiedział on z powagą na widok fotografii O.R.P. "Błyskawica,"—to jeden z dwu polskich kontrtorpedowców, wybudowanych w naszych, angielskich stoczniach. A czemu nie pokazujecie tych budowanych we Francji?

Szczęśliwy będzie dzień, gdy polskie dzieci zaczną się w ten sposób interesować sylwetkami i pochodzeniem okrętów marynarek wojennych.

JERZY GRABIEC

Ściana poświęcona dziejom O.R.P. "Orzeł"



Skrzynka pocztowa

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 8 "Polski Walczącej" p. Stefan Jurkowski, pisząc o książce F.S. "Nad Marną i Loarą" i nazywając słusznie tę książkę "pięknym pamiętnikiem żołnierskim," tak na wstępie powiada:

"... Zdziwiła mnie cisza o tej doskonałej książce p. F.S. na łamach wszystkich naszych pism. Wtajemniczeni w te nieco dziwne praktyki naszej prasy zdołali by może je wytłumaczyć; przeciętnemu "emigrantowi" trudno je zrozumieć."

W kilka dni po ukazaniu się rzeczonej książki, która i mnie zachwyciła, napisałem o niej obszerną recenzję, która ukazała się w "Dzienniku Polskim." Nie pamiętam w tej chwili numeru, ale rzecz jest łatwa do sprawdzenia. Ze swej strony nazwałem książkę "doskonałym pamiętnikiem żołnierskim" i omówiłem wiele z niej urywków. Przy całym braku zarozumiałości, nie mogę przypuścić, żeby recenzja ta przeszła bez echa, bo mi za nią podziękowano.

Jeżeli tę sprawę poruszam, to tylko, aby obronić naszą prasę przed zbyt pochopnym zarzutem "dziwnych praktyk"; przyjął się u nas zwyczaj stawiania zarzutów bez przekonania się o istocie sprawy. To jest właśnie "dziwna praktyka" emigracyjna, przed którą chciał bym przestrzec kolegów.

Poza tym miło mi bardzo, że co do wartości "Nad Marną i Loarą" jesteśmy z p. Jurkowskim jednego zdania.

Łączę dla Redakcji i dla p. Jurkowskiego—o ile je zechce przyjąć wyrazy koleżeńskiej życzliwości.

Antoni Bogusławski

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

W skrzynce pocztowej "Polski Walczącej" Nr. 8 przeczytałam list p. En. Jot (O.R.P. "Piorun") w sprawie nawiązania korespondencji z naszymi rodakami w Rosji, a pośrednio—bliższego kontaktu z krajem. Sądzę, że warto ten projekt urzeczywistnić, a może przyniesie zamierzony rezultat.

Autor listu słusznie podkreśla, że na ogół tylko przelotnie zatrzymujemy się nad tragicznym losem kraju, poświęcając wiele zabiegów na urządzenie sobie tutaj jak najwygodniejszych warunków bytowania, choćby za cenę małżeństw z Brytyjkami. Ten ostatni sposób jest o tyle niepokojący, iż przybiera charakter masowy. Oh, bo mężczyźni tak łakną atmosfery rodzinnej, ciepła domowego ogniska—a Szkoci i Anglicy są tak serdeczni i gościnni, że trudno oprzeć się takim ponętnym pokusom. Przytym często się słyszy, że umartwianie się i powstrzymywanie od przyjemności i rozrywek im tam w kraju nic nie pomoże.

Od paru miesięcy mieszkam w bardzo skromnych warunkach "somewhere in Britain". Miejscowi znajomi odnoszą się do mnie bardzo życzliwie. Jako jedyna Polka w tej okolicy stanowię pewnego rodzaju atrakcję, zapraszają mnie często na dancingi, zabawy itp. rozrywki. Ku ich zdziwieniu—odmawiam — okrutny los kraju, nasza tragedia narodowa i moja wielka tragedia rodzinna nie pozwalają mi na rozrywki i przyjemności.

Że moi brytyjscy znajomi tego nie rozumieją, łatwo mogę sobie to wytłumaczyć, ale boli mnie, gdy Polacy, z którymi przy spotkaniu te sprawy poruszam, uważają moje postępowanie za zbyt egzaltowane.

Kończąc, również proszę o wpisanie mnie na listę kandydatów.

Zof—Ka.

* * *

Przed kilkoma dniami przyszły tutaj numery Polski Walczącej od połowy marca do numeru Wielkanocnego. Może Pan sobie wyobrazić z jaką łapczywością się na nie rzuciłem. Przede wszystkim muszę pogratulować świetnego numeru poświęconego monarchii angielskiej. Rozumiem go bardziej, niż by to było przed opuszczeniem wysp, gdyż zobaczyłem jednak spory kawałek tego ogromnego Imperium i zrozumiałem—jeśli to wogóle cudzoziemiec może kiedykolwiek zrozumieć w zupełności—co to znaczy więź imperialna. Zrozumiałem może najlepiej, gdy w Kairze oglądałem fragmenty sławnej Armii Nilu, na tle ponurej rzeczywistości państwa egipskiego: gdy w przejeżdżanych i mijanych portach Afryki widziałem, dotykałem się niejako potęgi morskiej Imperium; gdy widziałem, jak magiczną rzeczą jest mowa angielska, gdy toasty za Króla piłem i pod równikiem i pod Islandią. I nabiera człowiek, jakiegoś nieziemskiego pojęcia o tej potędze, ktorej ruszyć się jest tak trudno, a po której mogłem podróżować 4 tys. mil morskich i—6tys. mil powietrzem, ciągle nie wychodząc z jej orbity. Wszędzie Wielka Brytania. Wszędzie na morzach powiewa jej flaga. Tylko ciągle ta fatalna linia dośrodkowa, ciągle to kręcenie się po kole—i w tym leży klucz zagadnienia, że fabryka Messerschmidtów jest pod Wiedniem, skąd do Beogradu i Aten i Krakowa skok tylko, a dostarczenie samolotu do Egiptu, czy dostarczenie czołgu do Libii trwa trzy miesiące. Takie zdrożne myśli przychodą do głowy w czasie tych podróży. Aha, jeszcze jedno — murzyni w Zachodniej Afryce stanowczo wolą Polaków, nie Anglików . . . Tak mi to kilka razy obwieszczali, co wprawdzie nie przeszkadzało im, gdy przespacerowałem sie do jakiejś wioski murzyńskiej pytać się o narodowość i gdy okazywało się, że nie jestem Anglikiem, to zaraz pytali się, a czy German. . . .

N.N.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

Pragnę szczerze podziękować za doskonałe pismo, jakim bez wątpienia jest "Polska Walcząca".

Oczywiście, każdy nowy numer "P.W." rozpoczynam czytać od "Bez black-out'u" p. W. Budzyńskiego. Szczególnie śmiało są poruszone pewne sprawy w Nr. 7 w felietonie p.W. Budzyńskiego. Tak dużo tych spraw spotyka się ciągle w naszym życiu wojskowym, lecz one zazwyczaj "toną" w t.zw. drodze służbowej.

Dobrze więc się stało, że "Polska Walcząca" otworzyła swoje łamy i umieszcza rzeczy nie tylko te, które głaszczą, ale i te, które ranią.

Z poważaniem.

H.W.

Pomoc dla Polaków w Rosji: £1,065



Afisz propagandowy i listy zbiórki na pomoc dla Polaków w Rosji, przeprowadzonej przez 307 dywizjon.

LOTNICTWO POLSKIE W ANGLII I SZKOCJI RODAKOM W ROSJI, ROK 1942

Szanowny Panie Redaktorze!

Zebraliśmy kwotę £136 sh.7 d.8 /słownie: sto trzydzieści sześć funtów, siedm szylingów i ośm pensów/ na "Pomoc Polakom w Rosji." Prosimy o przekazanie tych pieniędzy /załączonych do niniejszego listu w czekach/ do Polskiego Czerwonego Krzyża w Londynie.

Pragniemy zaznaczyć, że nie chcielibyśmy być w wysiłku naszym odosobnieni. Będziemy wszyscy szczęśliwi, gdy się dowiemy, że żołnierze innych jednostek lotniczych poszli za naszym przykładem.

307 Dywizjonowi Myśliwskiemu nie chodzi o palmę pierwszeństwa ani o tytuł inicjatorów. Przeciwnie, będziemy szczęśliwi, jeżeli inne jednostki czy instytucje lotnicze okażą się hojniejsze od nas. To też pozwalamy sobie zasugerować P.T. Redakcji, iż byłoby może na czasie otworzenie na łamach "Polski Walczącej" w rubryce składek, pozycji:

"Lotnictwo Polskie w Anglii i Szkocji—Rodakom w Rosji, rok 1942."

U nas zbiórka powstała samorzutnie pod hasłem /jak na załączonej fotografii/: "zamiast drink'a—pomóż Polakom w Rosji." Mamy nadzieję, że czytelnicy "Polski Walczącej" nie wezmą naszego hasła dosłownie. Wielu z nas na drink'a nie wydaje ani pensa, ale na ten cel dał każdy.

Prosimy przyjąć żołnierskie pozdrowienia.

Dowódca, Oficerowie i Szeregowi 307 Nocnego Dywizjonu Myśliwskiego

P.S.—Za kalendarzyki, które otrzymaliśmy w podarunku od Polskiego Czerwonego Krzyża, dziękujemy. Zostały one rozdane pomiędzy żołnierzy. Ponieważ kalendarzyków było mniej niż chętnych, dostali je ci, którzy złożyli największe datki w stosunku do swoich poborów.

* * *

Redakcja "Polski Walczącej,"

Mechanicy Silnikowi Eskadry Technicznej 305 Dyonu Bomb. przesyłają na pomoc Rodakom w Rosji kwotę £11 sh.10 /słownie jedenaście funtów, dziesięć szylingów/.

Mechanicy Silnikowi

* * *

Żołnierze Polskiej Szkoły Pilotażu Newton złożyli na rzecz pomocy Polakom w Rosji £3 sh.1 d.6. Załączam money order na powyższą kwotę i proszę o przekazanie do P.C.K.

Szef Kancelarii Polskiej Szkoły Pil.

* * *

Kwotę £16.18.6 zebrano za miesiąc marzec na pomoc dla Polaków w Rosji od oficerów, podoficerów, szeregowych i personelu cywilnego Biura Instrukcji i Tłumaczeń w Blackpool.

* * *

Przesyłam £1 na pomoc dla Polaków w Rosji.

J.M.M. (R.A.F.)

Szanowny Panie Redaktorze,

Przesyłam £68 sh.6 na rzecz Polaków w Rosji. Jest to dochód z koncertu urządzonego przez 3 Batalion "Bogaczy" w dniu 1.III.1942.

Dowódca Batalionu

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

Proszę przyjąć £3 na fundusz pomocy Polakom w Rosji. Jest to honorarium za opracowanie graficzne "Poradnika dla pracowników świetlic żołnierskich," wydawanego przez Y.M.C.A.

Zdzisław Borysowicz

* * *

P.T. Redakcja "Polski Walczącej,"

Przesyłamy niniejszym £3 sh.4 d.6 /trzy funty, 4 szyl. 6 pen./ zebrane wśród pań członkiń rodzin wojskowych, pracujących w kantynie przy Ośrodku Opieki w Perth, z prośbą o łaskawe przekazanie tej kwoty dla Polaków w Rosji Sowieckiej.

J. Kawala

Redakcja "Polski Walczącej,"

Przesyłamy zebraną sumę £2 sh.10 wśród żołnierzy Polaków przebywających w Szpitalu Carstairs, na fundusz pomocy Polakom w Rosji.

Prosimy o poświadczenie odbioru w najbliższym numerze "Polski Walczącej."

* * *

£5 sh.11 na pomoc Polakom w Rosji jako druga zbiórka od Panów wojskowych przebywających w South Field Sanatorium w Libertonie.

Koło opieki nad żołnierzem

* * *

Odpowiadając na apel ks. kapelana Warakomskiego Redakcja "Polski Walczącej" składa £2 zamiast rozsyłania indywidualnych życzeń świątecznych.

* * *

Do Redakcji "Polski Walczącej,"

Ku uczczeniu pamięci ś.p. kpt. H.J., por A.P. i st. sierż St.Dz., współpacjenci oddziału polskiego w Hairmyres Hospital przesyłają na Pomoc dla Polaków w Rosji kwotę £6.

Pacjenci Oddziału Polskiego w Hairmyres Hospital

* * *

Zamiast upominku w dniu imienin p. Leontyny Godlewskiej—przekazujemy na pomoc dla Polaków w Rosji sumę £2.

"Piątka Lotników"

* * *

Redakcja "Polski Walczącej,"

Ppłk. dypl. Z.E. składa w imieniu kpr. Tadeusza P. sumę £2 /słownie dwa funty/ na pomoc Polakom w Rosji wzamian nie przyjętej zapłaty za zapalniczkę.

Wacław P., por.

Do Redaktora "Polski Walczącej,"

Z polecenia Pana Komendanta Szkoły Podchorążych Piechoty i Kawalerii Zmotoryzowanej—przekazuję Panu postal order na 6 /sześć/ szylingów, na rzecz Polaków w Rosji. Suma powyższa pochodzi z nieoficjalnego rabatu drukarni przy wpłacie za wykonanie dyplomów III kursu.

Oficer oświatowy Szkoły

* * *

Redakcja "Polski Walczącej,"

Przesyłam Postal Order na sumę 12 sh. na Pomoc Polakom w Rosji.

E.M. kpr.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £264.7.2 /słownie dwieście sześćdziesiąt cztery funty, siedem szylingów, dwa pensy/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

* * *

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £1065.2.3 /słownie tysiąc sześćdziesiąt pięć funtów, dwa szylingi, trzy pensy/.

£7500 NA CELE SPOŁECZNE OFIARNOŚĆ ŻOŁNIERZY 1 BRYGADY STRZELCÓW

O skali i wydajności świadczeń społecznych naszych żołnierzy—świadczeń nienarzuconych rozkazem, ale wypływających jedynie z świadomości obowiązków obywatelskich żołnierzy wszystkich stopni—świadczy ofiarność 1 Brygady Strzelców.

Do końca lutego b. r. żołnierze tej brygady złożyli na różne cele społeczne £6861, z czego przypada:

£4084 na pomoc jeńcom w Niemczech,

£969 na pomoc Polakom w Rosji,

£1808 na inne cele, jak: pomoc internowanym w Hiszpanii i Szwajcarii, na fundusz walki czynnej w Kraju, na pomoc zbombardowanym w Glasgow, na odbudowę Guildhallu, na pracę kulturalno-oświatową w Brygadzie i t.d.

Ofiary żołnierskie, jakie wpłynęły w m. marcu /ponad £500/ i dochody z imprez, przekazane za pośrednictwem "Polski Walczącej" /około £150/, podnoszą sumę ogólną ofiar do £7500.

Poza gotówką złożono na pomoc Polakom w Rosji znaczną ilość odzieży i różnych przedmiotów.

Począwszy od dnia 1 kwietnia postanowili żołnierze 1 Brygady Strzelców wpłacać co miesiąc:

£400 na pomoc Polakom w Rosji,

£270 na jeńców w Niemczech,

£75 na cele oświatowe Brygady.

Niezależnie od tych kwot stałych napływać będą w dalszym ciągu na pomoc Polakom w Rosji dochody z imprez, urządzanych przez oddziały i dodatkowe indywidualne ofiary żołnierzy w gotówce i naturze.

Niniejszy numer jest numerem podwójnym. Najbliższy numer /16/ w normalnej objętości ukaże się dnia 18 kwietnia i będzie zawierał drugą listę osób w Z.S.R.R.

"Anglo-Polish Reading Circle"

W Chelsea Cloisters, wielkim bloku mieszkalnym w Londynie, zamieszkałym przez przeszło 1.000 osób, w tym kilkudziesięciu Polaków, od paru miesięcy czynna jest wypożyczalnia angielskich książek o Polsce.

Powstała ona dzięki inicjatywie i pracy jednego z zamieszkałych tam oficerów polskich sumptem około 40 osób, które złożyły się po 5 do 10 sh. Kosztem około 16 funtów zakupiono 70 książek oraz pewną ilość broszur i czasopism. Uzyskano też pomoc Wojskowego Biura Propagandy i angielskich przyjaciół—w postaci książek.

Powołano do życia "*Anglo-Polish Reading Circle*", zapraszając szereg pań Polek i Angielek, które dyżurują wieczorami, wydają książki i udzielają informacyj co do lektury na tematy polskie.

W ciągu trzech miesięcy ruch w czytelni wyraża się liczbą 302 wypożyczonych książek, z których korzysta przeciętnie około 80 osób.

Poza tym "*Anglo-Polish Reading Circle*" zorganizował odczyt p. Lipskiego o przedwojennych stosunkach polsko-niemieckich, który zgromadził około 200 osób. Obecnie zaś projektowane jest organizowanie co tydzień zebrań towarzyskich, urozmaicanych pogadankami na tematy polskie i przegrywaniem polskich płyt gramofonowych.

Tak dzięki inicjatywie jednostki, popartej przez zbiorowy wysiłek Polaków i ich angielskich przyjaciół—liczna gromada mieszkańców wielkiego londyńskiego bloku mieszkaniowego ma otwarty dostęp do wiadomości o Polsce i do polskich dzieł literatury.

Inicjatywa nie trudna do naśladowania w innych wielkich blokach w Londynie, a przede wszystkim—na prowincji, wszędzie, gdzie znajdzie się trochę Polaków. Potrzeba tylko—trochę dobrej woli. No i chęci do pożytecznej pracy.

J. S. B.

W związku z wystawą, organizowaną w maju br. u Harrods 'a w Londynie, poświęconą kobiecie polskiej, wszystkie osoby, posiadajace jakieś przedmioty polskiego przemysłu ludowego, kilimy, ceramikę, wyroby z drzewa, hafty, pasy słuckie, szkło, oryginalne kostjumy regjonalne i t.p. proszone są o łaskawe skomunikowanie się z działem wystaw w Ministerstwie Informacji i Dokumentacji, Stratton House, Stratton Street, London, W.1.

REJESTRACJA B. PRACOWNIKOW "POLSKIEGO RADIA."

Dział Radjowy Ministerstwa Informacji i Dokumentacji zwraca się do wszystkich byłych pracowników "Polskiego Radia," znajdujących się na terenie Wielkiej Brytanji bez względu na to w jakim okresie i przez jak długi czas pracowali w instytucji, by nadesłali pod adresem "Działu Radiowego" Ministerstwa Informacji i Dokumentacji /74, Seymour Street, London, W.2/ deklarację rejestracyjną z następującymi danymi:

1. Imię i nazwisko.
2. Rok i miejsce urodzenia.
3. Obecny przydział wojskowy ew. zatrudnienie cywilne.
4. Czas pracy w "Polskiem Radio."
5. Rodzaj pracy.
6. Miejsce pracy.
7. Krótki przebieg służby z uwzględnieniem okresu od 20 sierpnia 1939r.
8. Specjalne wykształcenie i uzdolnienia w zakresie radjowym.

Deklarację należy przysłać napisaną—o ile możności—na maszynie po jednej stronie kartki. Termin rejestracji upływa z dniem 15-go kwietnia.

Dział Radjowy. Ministerstwa Informacji i Dokumentacji.

SPIS RZECZY

KLIMEK KAZIMIERZ zasyła wszystkim kolegom i znajomym na terenie Wielkiej Brytanii serdeczne pozdrowienia z ziemi helweckiej—oraz prosi o łaskawe skomunikowanie się z nim podając swój adres: Heinrichsbad bei Herisau, Kt. Appenzell, Schweiz—Suisse.

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej—13-ej.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. bez względu na stronę, drobne ogłoszenia—sh.6 0d. za 1 cal. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób 50% taniej.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clemen ts Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.